MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 34. WARSZAWA, 24 SIERPNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

SĘDZIOWIE

W OBOZIE rządzącym jest grupa Związku Naprawy Rzplitej, która boryka się z wszystkiemi innemi grupami BB. Stale patrzy z ukosa na zachowawców, obok których siedzi, stosując do nich głównie nazwę ludzi konjunkturalnych, której używa potocznie w znaczeniu t. zw. czwartej brygady. Połączyła się w r. 1928 po wyborach ta grupa pp. Lechnickiego, Stypińskiego i in. z grupą Partji Pracy p. Kościałkowskiego i in., ale w końcu r. 1929 pokłócono się i rozwiedziono się bez trzaskania dzwiami, a grupa Zw. N. Rz. wyniosła z tego połączenia zmienioną swą nazwę obecną Zjednoczenia Pracy Miast i Wsi. Obecnie wreszcie grupa ta jest w ostrej i przeciągłej już utarczce z grupą pułkowników, czyli kierownictwem obozu rządzącego i BB. z pp. Sławkiem i Świtalskim na czele, dobijając się w tej walce niektórych podstawowych praw ludzkich, a przedewszystkiem prawa myślenia, które w obozie rządzącym i w BB., będącym pozatem rajem dla miłośników polityki, nie mających do niej dostępu od strony oparcia w społeczeństwie, jest właśnie tym rajskim owocem zakazanym. Jednem słowem walka, przeważnie uzasadniona i ze słusznych przekonań płynąca, ze wszystkimi towarzyszami spółki BB.

W toku tej walki Zw. Napr. Rz., czyli Zj. Pr. M. i W. z sąsiadami i wspóużytkownikami BB. odbywa się lekkie i wielokrotnie zauważone oczkowanie tej grupy z lewicą.

Natomiast za głównego swego wroga, jeszcze większego, niż wszyscy przyjaciele z BB. razem wzięci, uważa grupa ta obóz narodowy, co głosi w każdej sposobności, m. in. ostatnio w takiej:

— „Programu nie ujawniły dotychczasowe czynniki rządowe. Programu tego nie ujawnił Centrolew. Program ten posiada Narodowa Demokracja, ale program ten uważamy za szkodliwy dla Państwa i z tym programem byliśmy w zdecydowanej walce przez ostatnich 25 lat"... (nr. 29-ty „Przełomu" p. t. „O Program a nie o Władzę" p. Stefana Szwedowskiego).

Gorycz pewna w stronę obozu narodowego jest zrozumiała. Ze wszystkiego bowiem widać, że główną troską i tęsknotą tej grupy jest: 1) wolność myślenia, 2) zdolność wydobycia z tego myślenia umiejętnej i twórczej działalności politycznej, czyli t. zw. programu, zamiast samego tylko rozsiadania się u władzy, co grupa ta głównie dziś zarzuca obozowi rządzącemu. A to, do czego sama tęskni, t. j. ujawniony program, widzi, jak przyznaje, w Stronnictwie Narodowem. Pewien żal, niepozbawiony pierwiastków zazdrości, jest przeto zrozumiały.

Pozatem grupa ta wyszła z pnia ruchu wszechpolskiego, czyli demokratyczno-narodowego, oraz z jego tajnych organizacyj przedwojennych młodzieży, a oddzielanie się dokonywało się częściowo też nie 25 lat temu, czyli około r. 1905, ale 12 lat temu około r. 1918—19. Pewne stałe prawo szczególnej zawiści wobec tych, od których się odpadło, jest niemal niezawodne w rozstaniach politycznych. Więc i to objaśnia tę żywą gorycz.

Mniejsza jednak o zawiści i gorycze, ale niepodobna obronić się wrażeniu, że paczą one bar-

dzo wydatnie poglądy, sądy i ocenę zjawisk polskich w łonie grupy, która do myślenia i prawdy w polityce widocznie przywiązywać chciałaby należną wagę.

* * *

Pogląd tej grupy na dawniejszą i mniej dawną działalność obozu narodowego, poza przyznaniem, że miał on i ma program, wyraża się w takich zdaniach wspomnianych rozważań o programie i o władzy:

— „Było stronnictwo w Polsce, stronnictwo niegdyś pełne chwały, które zdołało zwalczyć ugodę w Polsce, a które po tem zwalczeniu zajęło miejsce ugody i jest z kolei przez nas namiętnie zwalczane. I znów mówimy o narodowej demokracji. I to stronnictwo przecież od 1903—1905 r. przestało uważać program swój, który wypłynął ze źródeł Ligi Polskiej i Narodowej, ze źródeł ideologji pułkownika Miłkowskiego za najważniejszy. Zajęło się sprawą drobnych lecz codziennych zdobyczy narodowych, które uznało za swój program życiowy. Nie możemy przecie negować, że zdobycze te na polu pracy organicznej były duże, że, zwłaszcza, zapewniły one na długie, długie lata prymat narodowej demokracji. Ale ponieważ, aby zdobyć te drobne codzienne zdobycze, odsuwało się w cień program, odsuwało się wielką ideję, w konsekwencji obóz ten stał się obozem wielkich codziennych upokorzeń i klęsk moralnych narodu. Historja zaś wyrzuciła go poza nawias chwili decydującej, chwili zdobycia tego, co poprzednio było jej (czyt. jego) najwyższym celem, a czego się z dnia na dzień wyzbywała (czyt. — ał), aż wyzbyła (czyt. — ył) zupełnie, dążenia do Niepodległości Polski".

Powoli. Tembardziej, że działalność obozu wszechpolskiego, nawet tylko w okresie od r. 1885 do wojny światowej, czyli około r. 1915, to jednak trzydzieści lat. Spory szmat czasu.

Takie ujęcie, że przez pierwsze 20 lat do roku 1905 była chwała, a potem odsunięcie wielkiej idei i upokorzenia, jest nieco... pobieżne.

Więc przedewszystkiem wszelkie twierdzenia, że obóz wszechpolski kiedykolwiek i gdziekolwiek zaniechał dążenia do niepodległości, które on właśnie wniósł w ostatniem przedwojennem pokoleniu w nasze życie, wniosł przeciw ugodzie i przeciw lewicy, wniósł wiarą i wysiłkiem ducha paru tysięcy pracowników na całym obszarze ziem polskich, wniósł zwycięsko i nieodwołalnie, są poniżej poziomu rozumnego, uczciwego i godnego ludzi dojrzałych mówienia o rzeczach poważnych.

Powtóre, wszelkie nie mówienia, ale, dalibóg, gadania o jakichś codziennych upokorzeniach i klęskach moralnych narodu, w które rzekomo miał pchać obóz narodowy po r. 1905, mają w sobie wszystkie znamiona nie już przesady, ale baśni o biesach dla straszenia dzieci.

Gdyby powiedziano, że w obozie narodowym, czyto na przestrzeni pierwszych lat trzydziestu od 1885 do 1905, czyto tylko w okresie 1905 do 1915, były błędy, były nierówności, były wątpliwości i wahania się wewnętrzne, byłoby to stwierdzeniem, że niema w świecie doskonałości i nie mogło być wszystko bez potknięć w obozie narodowym, ale te daleko idące określenia, nadęte brzmieniem, a puste treścią, chybiają celu.

Zabawne jest liczenie nowego okresu od r. 1905. Zabawne, bo najdawniejsi z członków grupy Zw. Napr. Rzplitej koło r. 1905 zaczęli stawiać pierwsze kroki, jako młodzież, w życiu politycznem i zaczęli zarazem odrywać się od kierunku wszechpolskiego. Zabawne, bo jest to znany objaw, pospolity do znudzenia, że ludzie trochę zadużo w siebie zadufani, popadają w tani nawyk chwalenia przeszłości, ale zarazem twierdzenia, że od chwili, kiedy oni raczyli się narodzić, już tylko oni mają tajemnicę słuszności. Zabawne, ale też tylko zabawne.

Perłą tych rozumowań jest owo zdanie o... wyrzuceniu obozu narodowego poza nawias przez historję w chwili zdobycia niepodległości, które jest tam zresztą powtórzone jeszcze dwukrotnie, co kilkanaście wierszy:

— „Historja postawiła poza nawias życia narodową demokracją w najważniejszym od 150 lat momencie, momencie uzyskania Niepodległości"...

— „Prymat, który historja wytrąciła im nieuchronnie już przy pierwszych strzałach strzeleckich w 1914 roku"...

Nie trzy ale trzy miljony razy powtarzać można to zdanie, może ono stać się rozpaczliwie nudne, ale nie przestanie być rozbrajająco śmiesznem.

Obóz narodowy, który zgniótł w kraju w ciągu czterech lat wojny robotę wszelkich N.K.N-ów i umów wojskowo-politycznych, mających wprządz naród polski w wojenny wóz Niemiec i Austro-Węgier, który oparł się okupacji i nie dał wziąć rekruta z Polski, który oparł sprawę polską o państwa zachodnie i sprawił, że Polska uznana została za naród sprzymierzony, który postawił najliczniejsze wojsko narodowe błękitne, który uzyskał warunek pokojowy Prezydenta Wilsona o Polsce i uchwałę wersalską Anglji, Francji i Italji o Polsce zjednoczonej z dostępem do morza, który wprowadził wskrzeszone Państwo Polskie na Konferencję Pokojową jako sprzymierzone, który dał temu Państwu pierwszego, prawidłowego przewodniczącego Rządu w osobie Paderewskiego, pierwszego Marszałka Sejmu w osobie Trąmpczyńskiego, pierwszego delegata na Konferencję Pokojową w osobie Dmowskiego, ten obóz był... wyrzucony poza nawias w chwili odzyskania niepodległości.

Trzeba mieć choćby krztę poczucia śmieszności.

* * *

Dalszy zarzut, skierowany w stronę obozu narodowego, dotyczy stanowiska jego wobec p. Piłsudskiego po odzyskaniu niepodległości:

— „Podział biegł inaczej: na obóz Komendanta Piłsudskiego i na obóz przeciwny. Ten nienormalny stan rzeczy, nienormalny ze względu na to, że Komendant Piłsudski nie był przedstawicielem jednego czy drugiego obozu, gdyż życie Jego i rola Jego w uzyskaniu Niepodległości predestynowały go na własność całego Narodu, spada na całkowitą odpowiedzialność obozu narodowo-demokratycznego. Społeczeństwo po 1918 roku intuicyjnie szukało wodza i znaleść go mogło tylko w jednej jedynej osobie w Polsce, w tej osobie, która stała na czele walk o Niepodległość, na czele twórców Państwa Polskiego. Akcja ta czyniona była poza obrębem narodowej demokracji, wbrew jej kategorycznym sprzeciwom, i innej orjentacji wojennej“...

Orjentacja wojenna obozu narodowego była tą, która dała Polsce niepodległość i zjednoczenie ziem, ocaliwszy naród od wiązania się z Niemcami, a zatem wystarczy stwierdzić, że była także orjentacja... inna, aby ocena była jasna.

Natomiast wszystko to, co powiedziano tu o stanowisku p. Piłsudskiego w społeczeństwie w r. 1918, jest wyzute z wszelkich znamion rzeczywistości i należy do opowieści baśniowych, dobrych na obchody imieninowe, ale nie w poważnych rozważaniach.

Nieprawda, by p. Piłsudski był przedstawicielem nie jednego obozu, gdyż, wziąwszy władzę prawem okupacyjnem z rąk Rady Regencyjnej, mianowanej przez dwu Cesarzy, mianował kierownikiem rządu naprzód p. Daszyńskiego, a potem p. Moraczewskiego, całkowicie stronniczo, wbrew woli olbrzymiej większości społeczeństwa, które wymusiło usunięcie naprzód jednego, a potem drugiego.

Nieprawda, by społeczeństwo szukało i znajdowało wodza w p. Piłsudskim, bo nie chciało ono słyszeć o żadnem jedynowładztwie, zaufania do p. Piłsudskiego nie miało, żądało równowagi wpływów, przyjęło dla koniecznej wówczas zgody porozumienie, mocą którego p. Piłsudski został Naczelnikiem Państwa, Paderewski Prezesem Rady Ministrów, Dmowski pierwszym delegatem na Konferencję Pokojową, a następnie Trąmpczyński Marszałkiem Sejmu Ustawodawczego, przyczem w t. zw. małej konstytucji z lutego 1919 ściśle ograniczono władzę Naczelnika Państwa.

Tak było w r. 1918, tak w latach następnych, tak i w r. 1926, gdy miarą owej tęsknoty społeczeństwa do rządów p. Piłsudskiego było to, że musiał je brać zamachem i przewrotem, tak jak dalszą miarą są wyniki wyborów sejmowych r. 1928.

Wszystko inne o tych predestynowaniach, intuicyjnych szukaniach wodza przez społeczeństwo i t. d., jest pospolitą blagą, którą się u nas obecnie nazywa grzecznie legendą.

Przypisywanie komukolwiek a nie p. Piłsudskiemu tej winy, że życie polityczne nasze zatrute zostało podziałem na tych, którzy są za p. Piłsudskim, lub przeciw p. Piłsudskiemu, jest szczytem... wolności słowa. Zresztą dzisiaj na tem twierdzeniu już się daleko nie zajedzie. Okazało się bowiem, że i dzisiaj jest ten san podział, za p. Piłsudskiem, lub przeciw p. Piłsudskiemu, tylko że obecnie wszystkie stronnictwa są przeciw p. Piłsudskiemu. Ostatecznie trudno przypuścić, że wina takiego ukształtowania stosunków w Polsce jest zawsze i kolejno po stronie wszystkich innych, tylko nie p. Piłsudskiego.

A skoro już mowa o historji, to jedyną rzeczą, która z tych wielkich a tak straszliwie zatrutych lat przejdzie w potomność jako objaw ludzkiej, obywatelskiej i narodowej godności, będzie opór, z jakim spotkały się te roszczenia jednostki.

* * *

Zdaje się, że można stwierdzić bez przesady, w stanowisku grupy Zw. Napr. Rz., tak pewnej swojej nieomylności, a tak zamaszystej w odsądzaniu od czci i wiary wielkiego obozu politycznego, mającego za sobą kilkadziesiąt lat pracy, bogatej w treść i w skutki, jest pewien nadmiar zarozumiałości.

Zarozumiałość ta zjawia się bardzo nie w porę. Równocześnie bowiem grupa ta nie może już ukryć zastraszających spustoszeń, jakie przewrót majowy wniósł w nasze życie. A sama brała udział i w przewrocie i w rządach po nim i w ich popieraniu.

Zanim się zacznie sądzić innych, byłoby dobrze pomyśleć trochę o własnych duszyczkach.

Otóż okazuje się, że grupa Zw. Napr. Rz. nie ma dostatecznie jasnego poczucia własnej odpowiedzialności.

Jeszcze dnia 25-go maja 1930, r. gdy zaczynał się rachunek sumienia za czterolecie, p. Jerzy Szurig pisał skromnie i słusznie:

— „Jeśli stwierdzamy, że w tem czy innem byliśmy wewnątrz obozu odrębnego zdania, że w tej czy innej zasadniczej sprawie wyniki działań obozu, wyniki jego kierunkowego nastawienia, które to nastawienie i działania nie szły po naszej myśli, wykazały np. słuszność naszego stanowiska, stwierdzamy tem równocześnie naszą większą jeszcze od innych składników obozu odpowiedzialność“... („Przełom“ nr. 21).

Dnia 15-go czerwca b. r. w uwagach p. Bolesława Srockiego jest już wzmianka:

— „...tego ściślejszego grona w obozie przełomu majowego, które dzisiaj w pierwszym rzędzie ponosi odpowiedzialność za kierownictwo losami państwa“... („Przełom“ nr. 24).

A dnia 15-go lipca b. r. właśnie w zakończeniu swych uwag o obozie narodowym p. Stefan Szwedowski mówi już całym spokojem:

— „...W tej chwili nie my jesteśmy odpowiedzialni za rządy w Polsce“. („Przełom“ nr. 29).

Jak na grupę rdzenną przewrotu majowego, tkwiącą w BB., jest to powiedziane raczej lekko.

Sędziowie, pomyślcie trochę o sobie.

STANISŁAW STROŃSKI

MITOLOGJA POKOJU

TRZEBA mieć dużą odwagę cywilną aby pisać takie rzeczy, jak ambasador de Saint-Aulaire, nawet jeżeli, tak jak on, zrezygnowało się już z karjery urzędniczej. Zbiór jego artykułów z „*Figaro*", ogłoszony pod tytułem „*La Mythologie de la Paix*" jest arcydziełem satyry, ale przedewszystkiem niesłychanem bluźnierstwem przeciw ogólnie wielbionym świętościom pacyfizmu i ich urzędowemu kultowi. Zamiast wdawać się w szczegóły rozbioru najlepiej będzie przytoczyć jeden ustęp, poświęcony misterjom Lokarneńskim:

„Kilku czytelników prosiło mnie, żebym im „wytłumaczył" Locarno. Robi mi to albo wielki zaszczyt albo, przeciwnie, ubliża mi.

Robicie mi wielki zaszczyt, jeżeli należycie do tych — a tacy są — którzy na serjo porównują jezioro Lokarneńskie do jeziora Genezaret. Dla pobożnych wielbicieli traktatu tego imienia, nie jest to traktat taki sam jak inne: to jest cud, i początek nowej ery. Otóż cud wymyka się z pod oceny egzegetycznej i należy do wyników działania łaski. Żeby go wytłumaczyć trzebaby być Bóstwem.

Co do zwykłych śmiertelników, pozostaje im alternatywa ekstazy albo bluźnierstwa. Ale bluźnierstwo jest także aktem wiary, gdyż zakłada istnienie bóstwa, któremu ubliża... Nie będąc wobec Locarno skłonny ani do ekstazy ani do bluźnierstwa, zadowalam się zaprzeczeniem. Pobożnym być nie mogę, ikonoklastą, nie raczę, jestem niewierzący. Ale w takim razie czyż nie jest robieniem zniewagi proponować mi, bym tłomaczył coś, czego niema, co jest czystym absurdem, bo tłumaczy się tylko to, co jest".

Cała reszta Olimpu kościoła pacyfistycznego, wszyscy święci pokoju, symbole, zaklęcia kultu i cuda są potraktowane w podobny sposób.

Doktryna pacyfizmu paneuropejskiego wydaje się St.-Aulairowi szkodliwą herezją, a jej dogmaty stekiem absurdów. Herezją tą jest szczególnie dotknięta Francja i dlatego musi z nią walczyć wszelkiemi siłami. „*Ecraser l'infâme*" — St. Aulaire zdaje się być jej drugim Voltairem. Możnaby zrobić porównanie jego metody satyrycznej ze sposobami tamtego.

Coprawda w swem zacięciu satyryka jest on trochę bezlitosny i niemiłosiernie zaczepia o nieszczęsne panoptikum genewskie, porównując je do pająka, stworzenia symbolizującego szaleństwo i złośliwość. Zapomina, że Liga Narodów ma za sobą także celowe i użyteczne dzieła jak potępienie wielożeństwa i inspekcję haremów. Inspekcja haremów ma wielkie znaczenie precedensu na wypadek wojny. Przyczynia się do ustalenia metod i środków. Kiedy mianowicie wybuchnie wojna, Liga wyśle komisje dla inspekcji i te napiszą raport. Tak zrobiono już nawet w głośnej sprawie transportów karabinów maszynowych dla Węgier. Coprawda komisja pojechała dla zbadania tych spraw dopiero coś w dwanaście miesięcy po tem, jak znaleziono te karabiny maszynowe w pakach z jajkami zamiast jaj, a przez ten czas zdążono je schować, wobec czego Komisja ich nie widziała. Dlatego też w raporcie nie mogła napisać, że oglądała karabiny na własne oczy, ale tylko, że mówili jej tacy, co widzieli. To nadaje całej tej historji z karabinami, tak psującej atmosferę coraz bardziej pogodnego pokoju, posmak jakiejś niepewnej blagi. W raporcie opowiadanie o tych karabinach będzie wyglądać jak jakaś pogłoska z drugiej ręki i wkońcu wszyscy przestaną wierzyć w ten epizod, psujący nastrój świąteczny. Takie załatwienie charakteryzuje bardzo dobrze działalność Ligi.

Powracając do haremów, potępienie wielożeństwa było jednoznaczne z pochwałą jednożeństwa, co oczywiście musiało utwierdzić moralnie w ich przekonaniach wszystkich zwolenników tej ostatniej instytucji. Ani to jednak, ani inspekcja haremów nie wywarły żadnego wpływu na zwyczaje Turków. Stąd mógłby ktoś wysnuć wniosek, że analogiczne oddziaływanie moralne w wypadku wybuchu wojen nie będzie miało żadnego skutku. Będzie to zapewne bardzo błędny wniosek, bo negowanie znaczenia czynników „moralnych" jest dowodem braku kultury i zacofania po względem cywilizacji. Wreszcie, jak mówi jeden z przedstawicieli Sanhedrynu pacyfistycznego: jeżelibyśmy się w każdem dziele ludzkiem doszukiwali samych złych stron i wyolbrzymiali jego wady, uniemożliwilibyśmy wszelki postęp. Stąd wynika, że nie należy zwracać uwagi na braki, ale wysilać się nad wyszukiwaniem punktów dodatnich.

Saint-Aulaire jest daleki od takich poglądów. Jego zdaniem: Liga, jest niebezpieczeństwem wojennem w takim stopniu, w jakim narody wierzą jeszcze, że jest ona gwarancją pokoju i zdają się na kłamliwe zapewnienia, które im się daje w jej imieniu. Z tego tytułu jest ona międzynarodową formą demagogji, która się charakteryzuje przez kult dla zasady najmniejszego wysiłku, tchórzostwa mas i poświęcanie przyszłości dla teraźniejszości". Szczególnie niebezpieczną stała się według niego Liga, odkąd dopuszczono tam Niemcy w charakterze uprzywilejowanego członka, gdyż wstąpiły one tam, stawiając warunki, targując się i zajmuje coraz ważniejsze miejsce. Tą drogą Liga staje się coraz bardziej ich narzędziem, „*La Freulein de la revanche*".

Starego dyplomatę, przywykłego do trzeźwego myślenia i operowania określonemi kategorjami, wyprowadza z równowagi polityka, oparta na głoszeniu mglistych haseł, ucieleśnianych w bałamutnych traktatach. Na czoło tej „demagogji międzynarodowej" wysuwa się hypoteza „*de la bonne Allemagne*" (dobrych Niemiec). Saint-Aulaire pamięta już trzecie odrodzenie się tych „dobrych Niemiec". Pierwsze — to „*la bonne Allemagne*", której konsolidacji patronował Napoleon III. Po r. 1870 nieco o niej zapomniano, ale wiara w nią odrodziła się wraz z erą Deyfusa, a jej szczytem była działalność Jaurès'a i cofnięcie wojsk francuskich o 10 kilometrów w sierpniu 1914 r. I teraz znów „dobre Niemcy", jak Feniks, po raz trzeci odradzają się, uosobiane przez ś. p. Stresemanna, najlepszego ucznia innego reprezentanta „dobrych Niemiec" z przed 1870 r.

Cała obecna polityka Francji opiera się na tym najnowszym dogmacie, którego służba wymaga od jego wiernych nieraz wprost męczeństwa. Talleyrand był tak opanowany, że, jak wyraził się

Murat, gdyby w chwili, kiedy przemawia, jego tylnia część ciała otrzymała była kopnięcie, jego twarz nie drgnęłaby. Zdaniem Saint-Aulairéa oblicze polityków francuskich „wyraża w takim przypadku uczucie błogiego rozradowania".

Objawom polityki „dobrych Niemiec" poświęca on dużo miejsca. Opisuje jak to raport gen. Guillaumat o tajnych zbrojeniach Niemiec był przez sześć miesięcy trzymany pod kluczem, a w ciągu tych sześciu miesięcy polityka ustępstw rozwijała się niezakłóconym biegiem. Dalej o tem, jak opinja pacyfistyczna sprawiła, że na odbudowanej po spaleniu w r. 1914 bibljotece w Malines zaniechano umieszczenia wszelkiego napisu, któryby robił aluzje do tego, w jaki sposób została ona zniszczona. O tem, jak się prześladuje zabawki wojskowe dla dzieci i t. p.

A wszystko po to, żeby *„la bonne Allemagne"* nie miała powodu do gniewu. Cała książka ogranicza się do opisu pojedyńczych epizodów, zaznaczających etapy rozwoju współczesnego defetyzmu francuskiego. Wykazuje czczość jego haseł i jego demagogji. Jest zbiorem artykułów dziennikarskich, które nie wdają się w głębszą analizę. Konstatuje pewne fakty, ale ich nie tłumaczy.

Spróbujemy ze swojej strony dorzucić tu parę uwag. Saint-Aulaire zarzuca obecnej polityce Francji to, że niedostatecznie broni ją wobec Niemiec. Ale nie próbuje doszukiwać się właściwego celu niektórych polityków francuskich. Naprawdę nie jest nim pokój za wszelką cenę, ale zbliżenie z Niemcami za wszelką cenę. Taki program wiąże się w interesujący sposób z koncepcjami, które bardzo dużą rolę odgrywały w polityce Francji przedwojennej. Zakorzenione mocno w pewnych kołach, przyćmione w pierwszych latach po wojnie, dziś wzrastają znowu z siłą taką, jak jeszcze nigdy.

We wrześniu 1925 r., kiedy zapadła decyzja zwołania konferencji lokarneńskiej, u steru rządów Francji stali: Briand, Painlevé, Caillaux i Malvy. Dwu ostatnich nie zrezygnowało z prób porozumienia z Niemcami za wszelką cenę, nawet w czasie wojny. Malvy oskarżony o zdradzenie najwyższych tajemnic wojskowych, skazany za „zignorowanie, pogwałcenie i zdradzenie swych obowiązków urzędowych jako minister spraw wewnętrznych" (*„...coupable ...d'avoir méconnu, violè et trahi les devoirs de sa charge..."*) i Caillaux, jego wierny protektor.

Twórcy Locarno, sprawcy i projektodawcy Paneuropy, zdają sobie bardzo dobrze sprawę z wartości i znaczenia tych aktów i poczynań. Zachowanie rezultatów zwycięstwa na zachodzie i wschodzie, być może jest ich troską, — ale mają inną, która przysłania tamtą: zdobycie dla Ludzkości, Europy, Cywilizacji i Postępu (imiona bogów pisze się dużą literą) korzyści moralnych i... materjalnych płynących z współpracy *„esprit Français"* z *„Génie constructeur de l'Allemagne"*.

VIR

KRYSTYNA CÓRKA LAWRANSA

SYGRYDA Undset zakreśliła swą powieść na miarę epopei. Akcję jej wywiodła z późnego średniowiecza, wybierając wiek XIV jako okres najbujniejszego dla ludów północy rozkwitu idei katolickiej, żywotnej i ugruntowanej w instytucjach kościelnych i społecznych, w obyczaju domowym a nadewszystko w sumieniach ludzkich.

Szukając śladów minionego życia, bohaterów swych pojęła autorka jako istoty, które miały swój byt indywidualny, pewny i ściśle w szczegółach, a nawet w drobiazgach, określony.

Dla lepszego uwydatnienia jej postawy wobec dzieła, warto przypomnieć metodę pisarską Berenta. Jego „Żywe Kamienie" — to także obraz średniowiecza w pełni rozwinięcia, ale jakże odmienny. Poeta — nie powieściopisarz — obcuje z minioną rzeczywistością za pośrednictwem sztuki. Jego bohaterowie istnieją w poemacie w sposób szczególny — jako żywe kamienie. Nasz stosunek do nich uwarunkowany jest wtórną recepcją życia, dokonaną przez autora. Żyją i działają te postacie, a więc zdają się posiadać własne, konkretne istnienie, a przecież równocześnie wiemy i czujemy, że wyszły one z monumentów, z legend, z pieśni, tylko na czas akcji utworu. Przemówiły, poruszyły się i znowu stężeją w kształt, który im nadali raz na zawsze dawni artyści.

Jak symbole, niekiedy jak alegorje obchodzą nas bohaterowie Berenta, w sposób poza ludzki czy ponad ludzki. Wyrażają ważne sprawy swoich czasów, zastępują ludzi, którzy kiedyś byli, jednostki czy całe grupy. Są to wspaniałe poetyckie abstrakcje i skróty rzeczywistości. Ich radość i cierpienie mówią, że ktoś w tych czasach tak się radował i tak właśnie cierpiał, oni zaś są tylko nosicielami tej radości i tego bólu.

Na doli bohaterów Berenta nie skupia się nasze współczucie, jak na realnie istniejących ludziach, którzy czują i działają za siebie, żyją raz i raz umierają. Czar poematu działa na nas, gdy go czytamy w mieście, zwłaszcza wśród monumentów przeszłości. Na wsi czytać trudno.

S. Undset wybrała metodę odmienną, nadając swym bohaterom wybitnie indywidualny charakter. Zagwarantowała ich rzeczywiste istnienie podwójnie: przez mocne podstawy biologiczno-psychiczne ich natury i przez szczegółowość narracji. Oba czynniki zmuszają nas do pojmowania książki nie jako romansu, ale jako odmiennej i szerszej kompozycji literackiej. Jeśli się zważy temat, dający przewagę rzeczom drobnym, codziennym, chociaż ukazanym w świetle spraw wielkich, to odrazu wystąpią warunki czytania i sądu. Książka wymaga czasu, pamięci i cierpliwego, uważnego złożenia całości ze szczegółów i ich rytmicznych nagromadzeń.

Nie jest Krystyna powieścią tendencyjną, ale jej układ wewnętrzy mówi o całkowitej świadomości autorki co do praw, którym poddała się ludzkość w dobie średniowiecza. Nie wiedzie to ani ku przewadze abstrakcji ani ku łatwej idealizacji przeszłości, choć czynnik ten istnieje w sensie głębszym i dla książki decydującym.

Ideową jednolitość pomysłu literackiego osiąga S. Undset przez ogromne napięcie sił biologicznych i duchowych swych bohaterów, którzy dzięki niemu stają oko w oko z koniecznościami i tajemnicą życia, patrząc spokojnie w oblicze śmierci.

Z tem natężeniem mocy człowieka układają się do równowagi jego prace i dzieła. Malując obraz, na który pada światło niebieskie, nie zapomina autorka o demonicznej sile, która zepchnięta w szczeliny gór, w mroki duszy ludzkiej, czai się i grozi, by w dniach dopustu bożego zawładnąć wzburzonym tłumem. Ale nie ona święci w powieści triumf. Świat ludzki ugiął się tu przed prawem Chrystusa, tylko gdzieś w uroczyskach górskich zabłyśnie twarz rusałki i oczy Aashildy zaświecą tym samym blaskiem. Aashilda jest jedyną w książce przedstawicielką pogaństwa i co znamienne, najbardziej ze wszystkich humanitarną i liberalną względem ludzi. Ona jedna nie uklękła przed ołtarzem Chrystusa. Niepokojąco młoda mimo lat, które nad nią przeszły, wyzywa Boga. Ale ten, którego pociągnęła za sobą w zbrodnię, Björn nie podoła ciężarowi zła. Będzie patrzył na świat oczami trupa, aż wreszcie zamorduje sprawczynię swej zguby moralnej i sam skończy samobójstwem.

Tembardziej odbijają od postaci Aashildy, Björna wszyscy naczelni bohaterowie książki, cała społeczność wiernych. Włada nimi życie, pan twardy i bezlitosny, ale czegokolwiek człowiek doświadczy, jest ważne i nic się nie da wymazać. Choć gmatwa się dola, choć wiedzie na rozdroża, życie zostaje podźwignięte i pochwalone. Człowiek rozpoczyna je w niepewności i rozterce, a wychodzi zeń spokojny, przemieniony, wracając do swego praźródła. Ponad potęgę emocji i uczucia wzbija się kategoryczny nakaz sumienia.

W tym zasadniczym układzie wartości wyraża się idealistyczna dążność powieści.

Powaga i wielkość tematu wymagały ludzi niezwykłych. Dlatego odpowiedzialność za czyny, dzielność w przyjęciu najcięższej doli, hart w znoszeniu nieszczęścia, to rysy naczelne wszystkich nieledwie bohaterów książki. Niema w niej czarnych charakterów, ale niema także ani jednego człowieka bez skazy. Wszyscy są ułomni. Nawet święty brat Edwin, za życia już wolny od pyłu ziemi, jąka się nieporadnie, gdy chce wytłumaczyć tajemnice Boże, gdy mówi o swoich przeżyciach, wizjach i nadziejach niebieskich. Przed scenami koturnowemi, przed apoteozą człowieka chroni autorkę stała troska o materjalne warunki jego egzystencji, nad którą wznosi się byt jego ducha. Dlatego S. Undset tak silnie podkreśla rozkosze i cierpienia fizyczne. To że nie one decydują, nie one pochłaniają ludzi, służąc za wywyższenie dla sumień, jest uderzające.

Nie przypadkiem także tylu bohaterów tej książki umiera. Śmierć Aashildy i Björna — to jakby zejście w nicość. Ale inne zgony są epilogiem życia, potęgującym jego wartość. Najgłębsza tożsamość postaci, pełnia ich osobowości spaja się z ustawiczną przemianą, narastaniem i wyświetlaniem wewnętrznego życia. Jest to krystalizacja stopniowa, ciągła, powolna.

Kiedy dojrzeje jakaś sprawa, ujawnia się wówczas nietylko mocniejszy zarys postaci, ale następuje zamknięcie pewnej całości organicznej, otwarcie nowej.

Dokonywa się to w scenach, ogniskujących kompleksy zjawisk, dotąd ukrytych czy niejasnych. Tragiczne napięcie, panujące w domu Lawransa w dniu zaślubin Krystyny z Erlendem, wyrywa z ust Rengfrydy wyznania, które otworzą jej dni pokoju i nieznanego dotąd szczęścia. Uwięzienie Erlenda będzie ważne nietylko dla niego i dla Krystyny, ale ujawni w całej pełni szlachetność Szymona. Siła, której ulega Krystyna, idąc za ukochanym, nabierze powagi, gdy bezskuteczną okaże się dobra wola Szymona względem poślubionej bez miłości małżonki. Nawet mściwe, okrutne słowa Krystyny nabiorą wartości, gdy usłyszymy z ust konającego Erlenda ich afirmację i spojrzymy na pogodną twarz zmarłego.

Drogami stopniowych syntez, zamykających osobne fazy życia, idzie autorka do syntezy końcowej. Jawią się oczom naszym coraz szersze perspektywy, jakby z coraz wyższych tarasów widziana ta sama okolica. Zwielokrotnia się wciąż w coraz innych zwierciadłach odbity zasadniczy obraz powieści. Cała mnogość nagromadzonych w monotonnych nieraz powtórzeniach zjawisk sprowadza się pod jedno naczelne prawo, które jednych wyzwala, drugich obowiązuje, nad trzecimi ciąży. Idą ku przyszłości niebieskiej dzieci ziemi przez mękę ciała i ducha, uwikłani w labiryncie dróg i ścieżek, które krzyżują się i plączą, by zrobić jedno ujście.

Krystyna jest główną bohaterką w tej wędrówce. Kiedy była małą dziewczynką, padło na nią urzekające spojrzenie rusałki, potem w patrjarchalny dom Lawransa przybyła lekarka-czarodziejka Aashilda. Miała ona oczy rusałki i znała trujące czary życia. Nie wahała się kiedyś iść po miłość wzbronioną przez zbrodnię i nigdy potem nie żałowała swego czynu. Ona zaszczepiła w sercu Krystyny tęsknotę za miłością najpełniejszą, dostępną jedynie temu, kto się na wszystko dla niej poważy, ona podszepnęła dziewczynie imię Erlenda. Gdy nieszczęśliwy wypadek zmusi Krystynę do opuszczenia domu rodziców i nastąpi spotkanie z Erlendem, nie znajdzie już tamy uczucie, które tem się wylegitymuje, że będzie jedno i jedyne.

Ale dola Izoldy, która przypadnie wówczas Krystynie, to nie wszystko. Skrzywdzona, wciągnięta w zbrodnię, zmuszona do dźwigania trudów nad siły zostanie ona w ideałach swych córką Lawransa. Dziedzictwo ojca czyni ją matką rodu. A jej tęsknoty religijne, pielęgnowane przez brata Edwina, wzmagać się będą w wyrzutach sumienia aż do heroicznego zwycięstwa nad zdziczałym tłumem i do przedśmiertnej ekstazy.

Izolda, żona, matka, zakonnica — oto splot, w którym widzimy Krystynę, gdy wchodzi w dom męża. Ale ten dom, za który ona czuje pełną odpowiedzialność, nie ma fundamentu, drży w posadach i może runąć.

Lekkomyślnej beztroski Erlenda Krystyna nie zdoła ani przezwyciężyć ani zastąpić własną inicjatywą. I spełnia się to, co przewidywał Lawrans. Do równi z gwałtowną miłością podniesie się gwałtowny bunt i mściwa uraza przeciw najdroższemu człowiekowi za to, że wplątał ją w krąg grzechu, że ranił ją w uczuciach matki i córki, że nie umiał być głową rodu.

Krystyna czuje granice swoich możliwości. Ani inteligencją, ani zdolnością obejmowania trudnych i zawiłych spraw życia nie może ona dosięgnąć celu, do którego dąży z surową powagą i zaciętością.

Miłość wschodzącej latorośli, jakby uczucie rodzinne Krystyny nazwał Tadeusz Zieliński, sięga w daleką przyszłość. Ale złożyła ją ona w słabe ręce Erlenda. W bezsile, w poczuciu kruchości podstawy, na której dźwiga dzieło matki, zrywa się raz po raz do walki z mężem o prawo kobiety

do jego pomocy, o przyszłość dzieci. Cierpliwa, niestrudzona, łagodna dla tylu ludzi, dla niego jedynie nie może być wyrozumiałą i wybaczającą. On jest przecież źródłem jej szczęścia i udręki, przedmiotem miłości, dla której niema zerwania, jedynem oparciem a jakże niepewnem. Stąd rozdźwięki i zgrzyty, akty okrucieństwa i zaślepienia przy bezgranicznej ofiarności i odwadze, jakby wybuchy wulkanu: ogień gniewu, który mija i żyzny osad, który zostaje.

Autorka nie daje się unieść sympatji ku Krystynie, nie usprawiedliwia jej, nie podpiera i nie osłania. Nie zmniejsza jej odpowiedzialności. Po śmierci najmłodszego synka zwali się na Krystynę brzemię popełnionych i niepopełnionych win, które ona sama tragicznie pomnoży. A mimo to, okaże się jasno, że pijąc do dna radość i ból życia, wypłaciła Krystyna do ostatniej monety okup za zło, którego była sprawczynią.

Dom Krystyny stał się klasztorem, w którym pełniło się co dnia dzieło miłosierdzia. Iluż ludzi znalazło w nim pomoc i ratunek. Oprócz rzeszy bezimiennych, o nią oprą się wszyscy niemal nazwani bohaterowie powieści. Ona umożliwi i podtrzyma heroiczną postawę Szymona, ona wypleni z duszy Gunulfa resztki egoizmu, ona cynika Ulfa uczyni rycerzem miłosierdzia. Jej surowy ideał będzie tamą dla pogańskiej beztroski Erlenda.

S. Undset nie przyzna przecież Krystynie wszystkich racyj, odsłaniając całe szaleństwo jej żalu. Nie zaćmi też nic ze szczególnego wdzięku Erlenda. Ten śmiały rycerz, brat orła i jelenia, nieomylnością instynktu, niewiedzą o grzechu góruje nad Krystyną. Dziecięcem, ufnem spojrzeniem szuka on przygody. Piękno jego postaci, niezwykły urok bujnego życia, niezłomna postawa człowieka honoru w godzinie próby, łączą się w nim z lekkomyślnością i roztargnieniem.

Wciągnie go Krystyna, córka rolników, w życie osiadłe, zwiąże go z obcym jego naturze trybem życia, zmusi do poszanowania swego ideału. Choć wyrywa się ten wolny syn przyrody z ciążącej mu atmosfery pracy codziennej, z pośród gromady dzieci, wracać będzie z każdej wyprawy do domu, jak do przystani. Ognisko, zapalone ręką Krystyny, stanie się dlań latarnią wśród żeglugi. Ale bieg powieści wypełnia walka, którą wiedzie bohaterka powieści w obronie życia rodzinnego przed zalewającym ją żywiołem zmienności, przed samowolą i wybujałością jednostki.

W walce tej tłem społecznem jest przeciwstawienie rycerzy-koczowników, szukających coraz nowych pól dla swych namiotów, rolnikom, sprzymierzonym z naturą, osiadłym w domach, twierdzach.

Mniejszej wagi jest dla książki tło polityczne, zgoła obojętne dla cudzoziemskich czytelników, nie prześwietlone myślą twórczą artystki.

Wszystkich naczelnych bohaterów powieści maluje S. Undset w ich wielkości i urodzie, daleka od moralizatorskiego kontrastowania postaci. Erlend góruje nad Szymonem i Krystyną nietylko jako doskonały syn natury, ale także przez niektóre właściwości duchowe, przez szczególny dar zapominania o krzywdach doznanych, przez pogodę i uśmiech w dniach męki i długich miesiącach biedy.

Wobec wszystkich swych bohaterów zachowuje S. Undset epicką równomierność charakterystyki. Ujawnia się to w śledzeniu pobudek ich czynów, w badaniu podglebia uczuć. Demaskuje autorka głęboką niechęć Szymona względem Erlenda w największych dla niego ofiarach. Wydobywa na jaśnię dnia kwietyzm księdza Gunulfa, silnie akcentuje wybuchy okrutnej pamięci Krystyny.

Synów jej prowadzi przez życie, jak innych bohaterów, wyróżniając przenikliwość ich usposobienia i charaktery. Jako dzieci istnieją oni głównie w trosce matki. Stopniowo dokonywa się ich emancypacja. Powstaje rodzina, choć w kompozycji powieści jest ona tylko tłem dla głównych postaci. Krystalizujące się charaktery chłopców, ich udział w życiu rodziców sprawią, że raz po raz oprze się o nich dalsza akcja powieści. Mimo to żaden z nich nie uzyska wybitniejszej roli, żaden nie wysunie się na czoło jak Lawrans czy Szymon. Przyszłości mniejszą wyznaczyła autorka rolę, niż przeszłości.

Nad bieżącym czasem silnie zaciążyła tradycja, którą najpełniej wyraża ojciec Krystyny. Przyszłość jest niemal obojętna. Powieść kończy się w chwil kilka po śmierci głównej bohaterki. Nie doznajemy żadnych niepokojów czy zaciekawień, nie wybiegamy myślą poza ramy zamkniętej całości. Uznajemy w całej pełni kres wydarzeń, widzimy w nim organiczny epilog.

Epilog ten jest przedziwnie harmonijnem zamknięciem książki. Mówi on nietylko o wyzwoleniu się Krystyny przez akt bohaterstwa. Ponura atmosfera dni pomoru, zwierzęcy strach oszalałych tłumów zostają przezwyciężone. Następuje powszechne uspokojenie i cisza. W ostatnim obrazie rysują się dwie sylwety ludzi, uczestników heroicznego dzieła Krystyny. Stąpają oni lekko po białym śniegu pod gwiezdnem niebem nocy. Święty pokój panuje w ich sercach i w całej naturze, znacząc kres ziemskiej wędrówki dzieci bożych.

Książka jest wybitnie jednolita także w ogólnym tonie i w nastroju. Momenty surowej powagi i tragicznego napięcia, ku którym wciąż wznosi się opowieść, znajdują pewne odprężenie w zwolnieniu tempa akcji, w przejściach od skrótów perspektywicznych do rozległości obrazów. Są to zmiany natury dynamicznej i rytmicznej. Nigdy natomiast wyzwolenia w humorze. Zrzadka też prześwieca w książce uśmiech ludzki. Nie słychać w niej głośnego śmiechu i trwalszej nad mgnienie wesołości. Przemijająca radość brzmi tu obco i znika w ogólnej atmosferze powagi.

Ludzie są głównymi bohaterami książki, ale prócz nich żyje natura i żyją rzeczy. Byt rzeczy nie narzuca się osobno, nie ma własnej konstytucji, ale sprzęga się ściśle z działaniem ludzi. Żadnych ambicyj zabytkowych, żadnych ciekawostek archeologicznych S. Undset nie przejawia. Jeżeli pokaże nam wnętrze domu, jego otoczenie, stroje dawne, to ma ku temu powody. Albo przedmiot zrósł się z człowiekiem, albo ułatwia zrozumienie warunków jego życia, dopełnia obrazu. Otoczenie pozostaje zawsze tłem. W podobny sposób towarzyszy ludziom natura. Spostrzega ją autorka i bohaterowie książki niejako syntetycznie, w całości, jako bryłę czy grupę, wyjątkowo, na krótko, obejmując szczegóły.

Znaczną większość pejzażów oglądamy z daleka lub z wysoka. Tak rysują się góry, drzewa, obłoki, wsie i miasta. Rzadko też występuje w powieści kontemplacja natury. Wynika to z silnej aktywności bohaterów powieści, którzy przedewszystkiem dążą i działają.

W opisach przyrody niewiele jest barw, uderzają zaś najsilniej zapachy i głosy. We wszystkich niemal obrazach występuje woda bieżąca: rzeki i strumienie. Często nie widzimy jej wcale, lub spostrzegamy jedynie odbicie świateł nocy w jej powierzchni. Zawsze natomiast słyszymy jej szum. Dziwnie czuły słuch mają w tej książce ludzie. Czasem pejzaż nocny usprawiedliwia tak wybitną przewagę akustyki, ale nawet wtedy, gdy świeci słońce, głosy wyraźniejsze są niż barwy.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt ścisłego związania ludzi z ich osiedlami. Dlatego słyszymy dobitnie głosy zwierząt domowych, głęboko przejmujące w miesiącach głodu.

Sympatja autorki dla rolników, którzy posiedli ziemię, w mniejszym stopniu udziela się pogromcom morza. Fabuła powieści pozwalała kilkakrotnie oddać w ręce żeglarzy ster akcji, choćby w jednym ważniejszym epizodzie. Ale nigdy do tego nie przyszło. Morze zostało w powieści obce, nieprzyjazne człowiekowi, groźne. Jego złowieszczy huk towarzyszy okropnym scenom pomoru.

Z większą emocją i z większą koncentracją artystyczną, niż w obrazach natury, maluje S. Undset przybytek Boga. Jej opisy kościoła szczególnie wrażają się w pamięć. Posługuje się w nich autorka analogjami z natury i z baśni. Dochodzi do zmieszania wrażeń, do ich transpozycji w religijnej kontemplacji świątyni.

Odosobniony i sublimowany kościół, jako grota w olbrzymiej górze, las kolumn, amfora napełniona tajemniczem światłem, mieszkanie Bóstwa, ogromem swym, niepojętą, uderzającą we wszystkie zmysły mocą, wynosi się ponad ludzi i ponad naturę. Z religijnych natchnień i prac wiernych wyrosły, ciągnie wzrok ich ku Bogu.

W ziemskiej pielgrzymce człowieka włada nad nim prawo Chrystusa, nad czary ziemskie wznosi się czar niebieski. Jego znak symboliczny na ziemi ukazuje S. Undset w budowli kościoła.

Tak więc temat i duch powieści znalazły podtrzymanie w jej układzie.

ZOFJA SZMYDTOWA

Z KSIĘGI PRAW KONIECZNYCH

I. POŻEGNANIE

U t r a c o n e j, d a l e k i e j, n i e z n a n y - n a j d a l s z y.
Żadne zaklęcia cudu uczynić nie mogą,
By świat przerażeń moich był Ci poufalszy
Niż wszystko, co jest drżeniem, przekleństwem i trwogą.

Przez scenę mojej wojny, przez padół padalczy,
Nie Tobie biedz z tęsknotą Twoją wiatronogą!
Nie Tobie stać na straży, gdzie drży się, gdy walczy,
Gdzie serce, jak pęknięty dzwon, huczy złowrogo.

Niech lśnią Ci jasne szczyty, niech róż Ci wystarczy,
Wszystkie łaskawe duchy niech lot Twój wspomogą;
Niechaj przy białem łonie Twem strzała nie warczy,
Gdy Nike, straszna pani, mknie z krwią i pożogą.

II. TRISTAN I IZOLDA

Królewska duma, żyjąca z jałmużny,
Polotne stopy, ściężałe ołowiem —
O paro, którą szczęśliwą nazowiem,
My, którym los padł podobny, czy różny.

Kobiece serce nie będzie wezgłowiem,
By zasnął rycerz u kresu, trosk próżny;
Lecz ani mówić trzeba, że świat dłużny,
Ni gonić miłość bezpieczną. A l b o w i e m

M i ł o ś ć j e s t j e d n o, c o ś m i e r ć. Każdej chwili
Jedno jest miłość-śmierć, wy, coście pili
Cykutę śmierci swej miodem miłości!

Jedna potęga jest, co ludzkie duchy,
Kiedy wyniszcza serca, żyły, kości,
Pomiędzy gwiazdy niesie jak wiatr suchy.

III. *EX „CONFESSIONIBUS“ SANCTI AUGUSTINI CONSOLATIO*

Quo magis celeriter crescunt ut sint, eo magis festinant ut non sint. Sic est modus eorum.
Lib. IV, cap. 10.

W prochu włóczyłeś czoło po wielkiej stracie —
Po oczach szafirowych, włosach pozłotnych,
Które nieodemkliwy grób wziął, o bracie.

Eheu. Im jest wdzięczniejszy tan stóp polotnych,
Jaśniejsza białość lilji, szybszy bieg strzały,
Tem prędzej przemijają w czasach niezwrotnych.

Lecz gdyś ukochał jawny kształt doskonały
Rzeczy, których cię teraz szarpie odjęcie,
Wiedz: stałemi je mogłeś zwać — boć dostały.

I właśnie jako gwiazdy na firmamencie:
Kiedy zagasa jedna — w chwale świetniejszej
Inna się może toczyć, przez Boskie pchnięcie. —

— Lecz wiem, że taka mowa nic nie umniejszy
Z żalu długopomnego; w lichej ją cenie
Ma człek, żujący w ustach smak wciąż cierpciejszy.

Jak próżno chcieć stałości w tem, co wiatr żenie,
Tak też: by gwiazd zastępy, co nie są wieczne,
W wojnę ze śmiercią mogły słać pomocnienie. —

I zaiste, gdyś poznał prawa konieczne
Tego, co tu zrodzone w śmierć się oddala,
Nie w niem ci zyskać miejsce, sercu bezpieczne.

Więc kiedy się ponadmiar w tobie użala,
Na Wieczność tylko pomnij: że to w niej oto
Przypływ z odpływem rzeczy biją, jak fala,

Że morzem jest niezmiernem i portu grotą.
A że na ziemi wszystko ma swoje: stąd-dotąd.

Paryż, w czerwcu 1930 TADEUSZ NEWLIN-WAGNER

NA WIDOWNI

Społeczeństwo widziane od Łysicy. — Moje studja na drodze. — Historja o koniu, prosięciu i poetach wiejskich. — Tęsknoty i talenty. — Człowiek, Puszcza Jodłowa i Chrystus. — Zasada budowania ludzkiego. — Gdzie państwo?

NIE jest to zupełnie proste zadanie pisać fejleton dla ludzi myślących, gdy się ma przed sobą górę, poszytą ciemnym borem i samotny klasztor, jak pieczęć milczenia, dokoła pustkowie, dzwoniące ciszą i gdy się jest z tem wszystkiem wysoko nad panoramą pól chłopskich na dziesiątki kilometrów rozległą, pól, z których tylko czasami dociera tutaj człowiek. Św. Katarzyna pod Łysicą.

Pod klasztorem widać odemnie niezasłonięty drzewami odcinek szosy, wiodącej z Kielc do odległego stąd o siedm kilometrów Bodzentyna. Mijając wejście do kościoła, kobiety przyklękają, kornie się pochylając, chłopi kroczą dalej, odsłaniając głowy. Na tej drodze można się czegoś dowiedzieć o życiu ludzkiem. Brak gazet i towarzystwa miejskiego pomaga skupić uwagę na to, co tu na miejscu wiąże się w jakąś całość.

Rozmawiam więc z gospodarzem, który tego dnia „furmaniąc", ma kogoś odwieźć do Kielc i poi konia przy klasztorze. Na wózku podróżne drabinki, siedzenia okryte kilimkami, zgrabny „szpak" miejscowego chowu przy dyszlu. Chłop niema dwu palców u prawej ręki. Opowiada mi z fantazją, jak to było. Idzie polem z lasu, patrzy: koń komuś uciekł i nie daje się schwytać. Zabiegł mu drogę i przyparłszy do płotu, sięgnął do łba. Rozjuszony koń chwycił go zębami za rękę i trzyma, a nogami usiłuje zdeptać.

— Ale ja też mocny, trzymam go lewą ręką za grzywę. A chłopi krzyczą: puść go, bo cię zabije. Jakże go puszczę — powiadam — kiedy on mnie trzyma.

Lekarz w Bodzentynie zrobił chłopu „reperację", bo palce były zgruchotane. Długo się leczył. Bardzo żywo było to opowiedziane, ale gdym o tem mówił z kim innym, kto chłopa znał, dowiedziałem się, że było trochę inaczej: schwytano go na kradzieży konia i, jak to bywa na samosądzie, bito go drągami, przytem wyłamano palce, gdy ręką się zasłaniał.

Poznałem wyrobnika, który wszystko potrafi, tak jest utalentowany: roboty ziemne, stolarka, mularstwo. Ładne układa wiersze i nawet poprawnie je pisze. Widziałem jego list wierszem do pewnej warszawianki. Ma on we wsi w Wilkowie sąsiadkę Zaborowską, znaną w okolicy z nałogu układania wierszy. Sama pisać ani czytać nie umie, jak wogóle tutaj ludzie starsi, ale dyktuje owemu robotnikowi. Są to wiersze i na pogody, i na imieniny, na krzyż wznoszony na Łysicy, na Sejm w Warszawie, na sąsiadów, wiersze religijne, polityczne. Bywa, że podczas skrobania kartofli ręka jej zwiśnie z kozikiem i tak trwa. Co to matka? — pytają. Ułożyłam se nowy wiersz — wykrzykuje rozradowana. Dyktuje wiersz nauczycielce wiejskiej, bo z kimże tu na milę dokoła się rozmówić? — i rada w radę, jakby ten wiersz wydrukować w gazecie. Nauczycielka, która gdzieś wyczytała w gazecie warunki ogłoszeń, stylizuje do redakcji list, ile by też kosztowało zamieszczenie dołączonego wiersza, ale trzykrotne.

Poniedziałek nad wieczorem. Wracają ludzie z jarmarku z Bodzentyna. Baba przodem w ciemnem obleczeniu, więc pewno z Krajna, za nią stary chłop z wieprzkiem. W ciężkich, zeschniętych i zadużych butach, w granatowym kaszkiecie. Kupiliście? — pytam. Babie w to graj, zaczyna mówić prędko za wysokim nad potrzebę głosem. Widzę, że są trochę podpici. Prowadzą wieprzka z powrotem. Nie sprzedali. Dawali im 60 złotych, ale im było żal. Bo co to za wieprzaczek! Wszystko będzie jadł, nie trzeba mu mlekiem polewać strawy, a taki przywiązany! Mówiąc te rzeczy, baba przystanęła, więc i stary wrócić do niej musiał, bo prosię inaczej iść nie chciało, jeno za gospodynią. I poszli. Idą tak do domu przeszło 10 kilometrów kamienistą szosą ciągle pod górę.

Najbardziej żal mi było pokwikującego stworzenia. Bo zmiarkowałem ze wszystkiego, że jest ofiarą ludzi. Ono jest tylko pretekstem ich dalekich wędrówek „do miasta". Ludzie muszą się raz na tydzień wyrwać ze swych pustkowi, gdzie bytują jak trawa, aby się poczuć w jakiemś społeczeństwie. Żre ich tęsknota społeczna, chcą czegoś się dowiedzieć, otrzeć o ludzi innych, czemś oszołomić. Jedno drugiego nie puści, aby samo poszło. Prosię zresztą nie pójdzie bez gospodyni. Oni go teraz nie chcą sprzedać, ale do tego nawet nie przyznają się przed sobą. W milczącem porozumieniu, oszukując się wzajemnie, wodzić będą biedne stworzenie na jarmark jeszcze przez kilka tygodni, aż podrośnie inne.

Pustka jest bowiem na wsi przedewszystkiem — społeczna. Całe Kieleckie w tę stronę, aż po Sandomierskie, całe te północne stoki gór Świętokrzyskich aż po Końskie — to świat chłopski, lub półrolny i robotniczy z kopalń rudy, która się wyczerpała, z wielkich pieców, które wygasły, świat nie znający dworów, będących ośrodkami cywilizacji wiejskiej. Do kościołów mają tu ludzie po siedm kilometrów. Nikt nic dla cywilizacji tu nie robi. Miasteczka, jak Bodzentyn, porastają trawą. Czego nie stworzyło niegdyś biskupstwo krakowskie, kiedy ludzie dobierali się do tej puszczy, to po dawnemu zostało pustką. Na resztkach dawnych dóbr kościelnych, zabranych przez rząd rosyjski, istniały dzierżawy. Folwarki te państwo polskie teraz rozparcelowało, zginęły więc ślady ośrodków kultury.

Taki Żeromski mógł wyrość w tutejszych Ciekotach i Mąchocicach, bo ojciec, dzierżawca folwarku, miał jeszcze w oczach szlaki wyższej cywilizacji; dziś już niema tutaj folwarku. Stefan Żeromski zgasł dla tych okolic bezpotomnie. Zajrzawszy w światy, tworzone przez człowieka, zebrał w siebie wszystkie tęsknoty tego utalentowanego ludu, zdolnego zarówno do złego, jak i dobrego, a bezradna myśl czepiała się najrozmaitszych pomysłów i doktryn, jakby ten lud do życia bardziej złożonego pociągnąć.

Widział, jak Bolesław Prus trzy elementy w podstawie świata ludzkiego: ziemia, człowiek prosty i Bóg. Chciał wymyślić jakąś kombinację społeczną zbawienia, bodaj wzorem ks. Ściegiennego, który w tych stronach właśnie marzył przedwiośnie komunistyczne. Zawiodły siły niecierpliwego Prometeja, ale uratowała go nadzieja na rodzące się państwo polskie, w które wierzył. Zdawszy na nie troskę o przyszłość historyczną tego ludu, w tem czystszej bezpośredniości znalazł się wobec dwu innych pierwiastków bytu: ziemi i Boga.

Oto teraz, idąc szosą w górę ku Krajnu, zobaczyłem na skraju lasu obelisk z bloku marmuru kieleckiego, a na nim wyczytałem napis z nazwiskiem Żeromskiego u dołu:

„Puszcza jest niczyja, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta".

Są to ostatnie słowa z elegji Żeromskiego, napisanej po ostatnim pobycie w stronach rodzinnych. Wypisali je na kamieniu uczniowie kółka im. św. Kingi w Kielcach (z datą 25.5.1930). Bogu wystawiono w tej puszczy przed stuleciami kościół i klasztor, żadna zaś idea nie uwieczniła nawiązania człowieka z przyrodą i tej z Bogiem. Ideę wyprodukowała wielka literatura, a zaniosły ją tutaj dzieci kieleckie. Po drugiej stronie drogi stoi w tem miejscu, widząca ten kamień, kapliczka Jezusa Miłosiernego, który jest Bogiem-Człowiekiem. Więc tak na górze splatają się w jednem westchnieniu ludzkiem, przy cudownej kulturze ducha samotwórczego, największe idee życia: Bóg, ziemia i człowiek.

Kto ma siły i wejdzie na Łysicę (610 m. nad powierzchnią morza), tam ponad zwałami skał, na samym szczycie, zobaczy krzyż jodłowy wysokości masztu, wzniesiony również w tym roku na 3 maja, a w czerwcu poświęcony. Napis na krzyżu, jak hymn:

„Nieśmiertelnemu Królowi niebios, Jezusowi Chrystusowi, Bogu-Człowiekowi, cześć i chwałę głosi Puszcza Jodłowa".

Krzyż ten postawił kapelan miejscowego klasztoru, ks. Kostrzewski, mazur rodem, a poświęcił go ks. biskup kielecki, A. Łosiński. Parę tysięcy ludu obecnego aktowi uświadomiło sobie ideę życia przyrody wespół z Bogiem i człowiekiem, wyniesioną przy współpracy literatury wysoko i wiążącą u wrót niebieskich w jedną nierozdzielność to, co na padole wydaje się rozwiązanem, luźnem obok siebie istnieniem, o sobie nie wiedzącem.

Nie są to symbole, ani linje geometryczne. Jest w tem siła wyciągowa, jak ta, która rost daje drzewom. Z tych motywów wyrasta dom cywilizacji narodowej w stylu, który mu nadaje ziemia i rasa, a człowiek tworzący wiąże je na każdej kondygnacji życia społecznego i duchowego w stropy o tej samej zasadzie zwornika: Bóg, ziemia i człowiek. I ta robota wypełnia treścią to, co w uniesieniu religijnem lub poetyckiem wydaje się tylko symbolem lub kierunkiem. Cała budowa cywilizacji narodowej wznosi się systemem krystalizacyjnym wysiłku w górę ku wiązaniu dobra na realnych podstawach ziemi z wartościami wiecznemi. Ten wysiłek twórczy zaciąga strop nad życiem ludzkiem złem czy dobrem, aby nad pierwszem mogło to drugie zagórować, i żeby człowiek w tej pracy mógł wyładować wszystkie tęsknoty i talenty.

Jak w tem pustkowiu tutaj, tak i w całym kraju nie brak dowodów, że istnieją bogate siły wyciągu duchowego, że są ramy idealne wielkiej budowy cywilizacyjnej, sięgającej nieba, że są warunki i materjał: i człowiek zdatny, i ziemia cudna, i Bóg łaskaw. Chodzi o wypełnianie treścią tych ram, w ul założonych. Na to potrzebne jest narodowi dobrze zorganizowane państwo, aby mądra myśl kierowała ideą budowy i otaczała opieką pracę, która walczy z pustką.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

PROBLEM POLSKO-NIEMIECKI W WYCHOWANIU

NIEBEZPIECZEŃSTWO, które grozi nam ze strony Niemców, występuje coraz wyraźniej. Niemal każdy dzień przynosi nowe fakty, stwierdzające, że nie pogodzili się oni nietylko z utratą ziem, które nam musieli zwrócić, ale z samem istnieniem państwa polskiego. Że i dzisiaj tak, jak to niejednokrotnie powtarzało się w historji, są ośrodkiem całej akcji, zmierzającej do zniszczenia, lub przynajmniej takiego osłabienia naszego państwa, by stało się terenem ekspansji niemieckiej takim, jakim stały się niegdyś ziemie Łużyczan, Lutyków i in.

To jest celem dzisiejszej polityki niemieckiej w stosunku do nas. By do tego celu dojść, używają różnych dróg. Prowadzą odpowiednią akcję na terenie międzynarodowym jak: systematyczne, w coraz bardziej oficjalny sposób wysuwane pretensje do naszych ziem; podkopywanie powagi naszego państwa przez nie cofającą się przed żadnemi oszczerstwami propagandę; podburzanie i wiązanie w przymierza przeciw nam innych państw jak Rosji, Litwy. Wewnątrz naszego państwa podburzają przeciw nam t. zw. „mniejszości narodowe" czego dowodem np. znana pomoc, udzielana terrorystycznym organizacjom ruskim.

Wszystkich tych metod używali już niejednokrotnie w przeszłości. Historja bowiem uczy nas, że obecny stosunek Niemców do nas nie jest czemś nowem. Że i dawniej, że przez wieki, odkąd historja pozwala nam śledzić bieg wypadków, ten stosunek nie był inny. Tylko zależnie od wzajemnego stosunku sił w danym okresie, walka z nami stawała się mniej lub więcej intensywną.

Dla dzisiejszych Niemców charakterystycznym jest jeszcze fakt, że młode pokolenie wychowują w takim duchu, by ono to dzieło dalej prowadziło. Wiadomą jest rzeczą, co i w „Myśli Narodowej" było poruszane (zob. str. 188 i 202 z r. 1930, art. p. t. „Propaganda pacyfizmu w wychowaniu"), że dzisiejsza szkoła niemiecka wpaja w młodzież nietylko przekonanie, iż ziemie oddane Polsce muszą być odzyskane, ale że słuszną jest wojna, w której chodzi o zaspokojenie żywotnych interesów narodowych takich, jak np. zdobycie terenów, potrzebnych dla ekspansji narodowej. Młodzież niemiecka wychowuje się dziś w duchu wybitnie imperjalistyczno-zaborczym, z równoczesnem skierowaniem jej uwagi przedewszystkiem na wschód, w dorzecze Wisły, przeciw nam.

Wszystko to świadczy niezbicie, że czeka nas długa i ciężka walka nie tylko o Pomorze, Śląsk czy Wielkopolskę, ale o samo istnienie niepodległego państwa. Do tej walki musimy być przygotowani, całe nasze życie musimy odpowiednio urządzić, między innemi także wychowanie naszej młodzieży. Jednym z najważniejszych warunków zwycięstwa, bo przecież zwyciężyć musimy, jest jasne zdanie sobie sprawy z niebezpieczeństwa przez ogół starszego pokolenia i odpowiednie uświadomienie młodzieży polskiej.

Stajemy wobec jednego z najważniejszych problemów wychowania narodowego. Szkoła polska musi dziecko polskie w należyty sposób poinformować o stosunkach polsko-niemieckich w prze-

szłości, ułatwić mu zorjentowanie się w aktualnych zagadnieniach chwili bieżącej, by znalazło właściwą drogę swej działalności na przyszłość, by umiało się bronić przed zaborczością w takim duchu wychowanego sąsiada.

Czy szkoła nasza to zadanie spełnia? Według mego zdania nie. Wprawdzie uczymy o wojnach Mieszka I z Geronem, Chrobrego z Henrykiem II, o Głogowie i Psiem Polu, o buncie wójta Alberta i zajęciu Pomorza przez Krzyżaków, o Grunwaldzie i Fryderyku II. Uczymy o tych poszczególnych epizodach, ale brak w tej nauce należytego ujęcia. Są szczegóły, brak całości obrazu. Szczególnie daje się to odczuwać, gdy przechodzimy do czasów najnowszych. Uczymy wprawdzie o wywłaszczeniu i o pokoju brzeskim, ale o całokształcie polityki niemieckiej w stosunku do nas szkoła nie daje żadnego wyobrażenia.

Ażeby twierdzenie to nie było gołosłowne, rozpatrzmy, jak kwestję stosunków polsko-niemieckich traktują podręczniki szkolne, obecnie używane. Nie jest to wprawdzie jedyne, ale jedno z najważniejszych źródeł, wprowadzających młodzież w tę kwestję. Na wstępie, zanim przejdę do właściwych podręczników szkolnych, chcę zaznaczyć, że według mego zdania jedyną książką, która w należyty sposób to zagadnienie omawia, są „Dzieje Polski“ Wacława Sobieskiego (3 t. Warszawa. Wydawnictwo „Zorzy“, 1923—5). Ale one nie tylko nie są podręcznikiem szkolnym, nie w tym celu były pisane, ale zdaje się, że niestety dosyć mało są znane nauczycielstwu polskiemu, mimo swoich wielkich wartości. Mówiąc o tej książce, jedną rzecz chciałbym podreślić: nie znam drugiej historji Polski, z której kart wionąłby taki duch niepodległości, na której tak wyraźnie uwydatniłby się fakt, że była pisana już w wolnej Polsce.

Natomiast wśród podręczników szkolnych niema ani jednego, któryby interesujące nas zagadnienie przedstawiał w odpowiedni sposób. We wszystkich są mniejsze lub większe braki, dochodzące w niektórych do wprost karygodnych zamilczeń, czy tendencyjnych fałszów.

Z podręczników, używanych w szkołach powszechnych, nieco lepiej przedstawia się — zaznaczam jeszcze raz, ze rozpatruję sprawę tylko pod jednym kątem widzenia — podręcznik Włodzimierza Jarosza: „Opowiadania z dziejów powszechnych i polskich“ (część I wydanie IV część II wydanie III. Lwów. Wydawnictwo Zakładu Nar. Im. Ossolińskich. 1926). Bez porównania gorszy jest podręcznik B. Geberta i G. Gebertowej: „Opowiadania z dziejów powszechnych“ (część I wydanie VI skrócone, część II wydanie IV skrócone. Książnica Atlas. Lwów 1929). Obydwa mają tę wspólną wadę że nie wyjaśniają zupełnie stanowiska Niemców w sprawie polskiej w czasie wojny światowej i nie mówią nic o stosunkach po wojnie.

To samo można powiedzieć o podręczniku przeznaczonym dla trzech pierwszych klas gimnazjalnych, Jana Dąbrowskiego: „Wiadomości z dziejów Polski“. (Nakład K. S. Jakubowskiego, Lwów. Tom I. Wyd. II. 1929. Tom II. 1928. Tom III. 1928). Jest to tembardziej charakterystyczne, że podręczniki Dąbrowskiego i Gebertów wyszły w r. 1928, względnie w 1929, t. zn. w czasie, kiedy cały szereg charakterystycznych wystąpień Niemców przeciw nam wykazał dobitnie ich dążenia.

(Dok. nast.) J. HAJEWICZ

NAUKA I LITERATURA

MŁYN W BOŻEJ WOLI

BARDZO jeszcze niedawne to czasy, kiedy „inżynier“ był ulubioną postacią w beletrystyce i literaturze dramatycznej, z upodobaniem — jak w „Safandułach“ Sardou — przeciwstawianą przedstawicielom „kończącej się“ warstwy szlacheckiej, ziemiańskiej. Jeśli zaś tego stanowiska „inżyniera“ dobijał się chłopak zc sfer najniższych („syn gajowego“), jeżeli chciał je zdobywać własną tylko energją i wolą, samemu będąc kowalem swojego losu, jeżeli, słowem, rozpoczynał drogę życiową z wiarą we własne siły i niezachwianą licznemi przeciwnościami wytrwałością — zgóry już miał zapewnioną sympatję autora i czytelnika, wzrastającą tembardziej, kiedy los stawiał przed nim, jako rywala, „panicza ze dworu“: konwenans demokratyczny wymagał bezwarunkowo moralnego przynajmniej triumfu reprezentanta „ludu“, co w tym wypadku równoznaczne było z triumfem idej „humanitarnych“, „postępowych“.

Wanda Miłaszewska psychiką swą, sposobem patrzenia na świat należy całkowicie do pokolenia młodych, wyswobodzonych już z rutyny „postępowego“ myślenia i „postępowych“ przesądów oraz uprzedzeń. W jej najnowszej powieści p. t. „Młyn w Bożej Woli“ (Poznań, 1930, nakładem księgarni Św. Wojciecha), w konflikcie między młodym dziedzicem Harnowskim a *self made man*'em, inteligentnym i mocną wolą odznaczającym się synem gajowego, Sowikiem, zwycięstwo moralne pozostaje niezaprzeczenie przy Harnowskim. Powieść przez to niewątpliwie staje się ciekawsza, poszczególne postacie przestają być typami konwencjonalnemi, nabierając tem samem życia, świeżości, prawdy. Zaś prosta dobroć starego Sowika i jego żony jest — w tem ujęciu — bez porównania bardziej przekonywająca, o wiele silniejsze wywołuje wrażenie, jako że jest wyrazem dążenia do prawdy artystycznej, nie zaś „szlachetnej tendencji“.

Dbałość o język, jego poprawność, precyzję, prostotę zawsze chlubnie charakteryzowała utwory literackie Wandy Miłaszewskiej. Dbałość ta w „Młynie w Bożej Woli“ napewno nie jest mniejsza, niż w powieściach poprzednich, można dodać natomiast, że polszczyzna Miłaszewskiej zyskała bodaj ostatnio na dobitności i sile wyrazu. Zwłaszcza obraz ulewy i zerwania się tamy w pierwszym rozdziale „Młyna“, ze względu na bezpośredniość i prawdę opisu, należy do najpiękniejszych fragmentów prozy, jakie wyszły kiedykolwiek z pod pióra autorki „Zatrzymanego zegara“. Wypada również wspomieć oryginalną w pomyśle, a konsekwentnie przeprowadzoną konstrukcję powieści, co nic mało przyczynia się do podniesienia wartości literackiej „Młyna w Bożej Woli“.

Wanda Miłaszewska nie może skarżyć się na niechęć ze strony krytyki, a tembardziej — obojętność ze strony szerokich rzesz czytelników. Powieści jej są rozchwytywane, niejedna zdążyła się już doczekać wydań następnych i przekładów na obce języki. Nie ulega żadnej wątpliwości, że „Młyn w Bożej Woli“ podzieli pod tym względem los książek poprzednich. Zasługuje na to w zupełności.

R.

„MŁODY POLAK W NIEMCZECH”

CZASOPISMO „Polak w Niemczech“ rozpoczęło w kwietniu b. r. wydawnictwo miesięczne dodatku ilustrowanego p. t. „Młody Polak w Niemczech“ celem podtrzymania i rozwoju ideałów narodowych wśród młodzieży naszej, zamieszkałej na obszarze Niemiec na Śląsku, w Westfalji, w Berlinie, na Pograniczu i w Prusach Wschodnich. W przedmowie pierwszego numeru zaznacza redakcja, że chwila rozpoczęcia tego wydawnictwa „dziwnie zbiega się z radosnem świętem Zmartwychwstania Pańskiego“.

Dziś z kilku numerów wydawnictwa można w pełni ogarnąć jego znaczenie narodowe i kulturalne. W kwietnio-

wym numerze, nawiązując do historycznej tradycji narodu, podaje redakcja opisy zwyczajów Wielkanocnych ludu, maskarady wiejskiej, dyngusu, święconego, pisanek, i tekst z muzyką okolicznościowych piosenek świątecznych. Numer za maj otwiera artykuł o rocznicy konstytucji 3-go maja, z portretem Stanisława Małachowskiego, marszałka sejmu czteroletniego. Za czerwiec znaczna część numeru poświęcona jest 400-letniej rocznicy urodzin Jana Kochanowskiego. Numer za lipiec wypełniają, z nader trafnie dobranemi ilustracjami, wspomnienia o polskiej kulturze na Śląsku i Warmji, widoki kościołów, ratuszów i pomników. Przyczem, z początków zeszłego stulecia, życiorys Józefa Lompy, pisarza narodowego i nauczyciela na Śląsku Opolskim, wraz z jego portretem i widokiem szkoły, w której nauczał. Wszystkie te artykuły czasopisma przeplatają teksty poezyj Mickiewicza, Lenartowicza, Kraszewskiego, Fredry, urywki z dzieł wybitnych naszych poetów i prozaików, i odbitki obrazów Matejki, jak i obrazów innych mistrzów polskiego malarstwa. W ten sposób młodzież polska w Niemczech może uświadomić sobie wartość literatury i sztuki swej ojczyzny.

Żywo też i ruchliwie przedstawia się część aktualna czasopisma. Ilustracje z nad wybrzeża morskiego i z rozbudowy Gdyni, Kongres Eucharystyczny i Wystawa komunikacyjna w Poznaniu, gościna na Śląsku Opolskim teatru z Katowic z „Weselem Śląskiem", i ilustracje ważniejszych zdarzeń w życiu Polski.

Dla czytelników w Polsce najciekawsze są wiadomości o życiu młodzieży, z zakresu jej samozachowawczej obrony przed wynarodowieniem. Przejawiają się te dążenia w dziedzinie oświaty i sportu. I tak, z inicjatywy pierwszego Sejmiku Młodzieży Polskiej ze wszystkich ośrodków polskich w Niemczech, urządzane były amatorskie przedstawienia teatralne i popisy chórów śpiewaczych oraz harcerstwa, w szeregu miejscowości na Śląsku Opolskim, Powiślu, Warmji i Mazurach. Harcerze berlińscy odbyli wycieczkę do Anglji, wycieczkę rowerami do Danji. Kongregacja Marjańska w Zabrzu urządziła amatorskie przedstawienie teatralne o charakterze religijnym. W Bytomiu zawiązała się Orkiestra Młodych. W Gliwicach odbył się zjazd delegatów Kół Śpiewaczych Śląsku Opolskiego. W Raciborzu odbył się bieg „Sokoła". W Essen zjazd Związku Młodzieży Polsko-Katolickiej na Westfalję i Nadrenję. W Herne zjazd delegatów Towarzystw Gimnastyczno-Sportowych.

I tak dalej.

Każdy numer „Młodego Polaka w Niemczech", (adres redakcji: Berlin Charlottenburg 4, Schlüterstrasse 57. V.) przynosi wiadomości o kulturalnych, gospodarczych i sportowych poczynaniach młodzieży, wieść, że „żywie duch". Pismo cechuje wzniosły charakter uczuć narodowych, ujmująca szczerość i prostota wysłowienia się, artystyczna szata wydawnictwa, począwszy od barwnych okładek, komponowanych w stylu „wycinanek" krakowskich. Rozmaitość treści powinna przyczynić się do rozpowszechnienia „Młodego Polaka", nie tylko wśród czytelników polskich w Niemczech, ale i w Polsce. Wytrwałość i moc organizacji tej naszej młodzieży z ziem niewyzwolonych mogłyby posłużyć za naukę, przykład i wzór dla młodzieży w obrębie państwa, na naszych, tak bardzo pod względem organizacji życia narodowego upośledzonych, Kresach Wschodnich.

A. W.

RUCH WYDAWNICZY

Dr. Ludwik Chmaj, docent U. J., znany dotąd z licznych rozpraw o dziejach i ideologji reformacji polskiej (o Wiszowatym, Ruarze i in.), ogłosił niedawno dwie duże prace o Kartezjuszu oraz wykład wstępny o współczesnym kryzysie w badaniach nad historją filozofji. W pierwszej rozprawie o Kartezjuszu, drukowanej w r. 1928 w „Kwartalniku Filozoficznym", zdaje on sprawę z jego „filozofji w świetle ostatnich badań", omawiając wyczerpująco szereg wydawnictw nowszych, dotyczących twórczości uczonego francuskiego. Zaś w gruntownem studjum p. t.: „Rozwój filozoficzny Karterjusza" (Kraków, 1930, Akad. Umiejętności, str. 202), przedstawia dr. Chmaj ewolucję i stopniowe dojrzewanie zasadniczych pojęć wielkiego filozofa aż do r. 1637, kiedy to wychodzi głośna jego praca p. t. „*Le projet d'une Science universelle*", nazwana później poprostu „*Discours sur la métôde*". Książka Chmaja, poświęcona zagadnieniu dotychczas niezbadanemu, odznacza się subtelną i gruntowną analizą niezwykle trudnych początkowych pism Kartezjusza, kreślonych przeważnie jako szkice bruljonowe i ukazujących dzieje jego krytycznej myśli, jeno stopniowo wyzwalającej się z pęt metody scholastycznej, zwłaszcza przez skrzętną analizę samej czynności poznania, oraz przez studja nad przyrodą, fizyką i matematyką.

Z satysfakcją wreszcie podnieść należy, że zainteresowania naukowe dr. Chmaja są zwrócone w kierunku filozofji francuskiej, co jest wyrazem coraz większej emamypacji nauki polskiej z pod wpływów filozofji niemieckiej, którym dotąd niemal powszechnie ulegali nasi filozofowie, zwłaszcza ci z pod stempla galicyjskiego.

*

Wielce pożyteczną publikacją młodzi Obozu Wielkiej Polski upamiętnili obchód dziesiątej rocznicy bitwy pod Warszawą, zwanej „Cudem Wisły". Wydana ich staraniem broszura Jana Rembielińskiego „Dniepr i Wisła" ma wartość doskonałej informacji historycznej i wielce przekonywającego argumentu publicystycznego przeciwko polityce, prowadzonej w Polsce przez Piłsudskiego. Rzecz pięknie napisana, pełna ścisłych dat i faktów dokumentalnych, rzuca jasny promień światła na dzieje nasze lat ostatnich. Powinna się znaleźć w każdym domu i nadto powinna być rozrzucana między ludzi, nie nawykłych do kupowania książek. A kosztuje tylko 60 gr. Nabywać ją można w księgarniach, a po większe ilości najlepiej zwracać się do biura Stron. Narodowego (Warszawa, Jerozolimska 17), albo do biura Obozu Wielkiej Polski (Warszawa, Złota 5 m. 1), gdzie można uzyskać nawet rabat.

*

Turniej Żywych Szachów, widowisko Janusza Stępowskiego, autora powieści „Sad w środku miasta", wydał już w drugim wydaniu, obecnie z ilustracjami Ludomiły Lanżanki, Dom Książki Polskiej w Warszawie. Pomysł partji szachowej, zrealizowany we wczesnym renesansie w nowołacińskim poemacie Marka H. Vidy, naśladował Kochanowski w poemacie „Szachy", a pozatem partja szachów, traktowana jako temat literacki, kusiła twórczość wielu pisarzów. „Turniej Żywych Szachów" Stępowskiego, oryginalny w projektowaniu i rozegraniu partji, okraszony został ciekawemi niespodziankami pogodnym humorem obu walczących stron. Jednak najpiękniejszą ozdobą utworu jest jego słownictwo staropolskie, przejęte z klasycznych dzieł złotego wieku naszej literatury. Słownictwo to nie poprzestaje na nazwach figur szachowych wedle terminologji „Szachów" Kochanowskiego, ale wszystkie komentarze do posunięć szachowych utrzymuje harmonijnie w jednolitym charakterze archaizmu językowego.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Daniel Rops (L. F. Shoell) podjął się trudnego zadania. Na podstawie najnowszej literatury pragnie ustalić oblicze duchowe Francji, głoszone ideje i tendencje, przejawiające się w współczesnej literaturze francuskiej. Jako główną cechę tej literatury, uważa autor niepokój duchowy, głęboko nurtujący pisarzy. Rozważania swe p. t. „*Notre inquiétude*" podzielił na trzy zasadnicze części: „*Louange de l'inquiétude — Sur une génération nouvelle—Positions devant l'inquiétude*".

W części pierwszej stwierdza autor, że cała Europa trawiona jest duchowym niepokojem i zgodnie ze Spenglerem uważa, że jest to objaw starzejącej się rasy. Naprzekór rozumowi jest ten niepokój jednak podstawą każdego cennego dzieła literackiego. Rops dzieli niepokój na metafizyczny, moralny i estetyczny. Omówiwszy wszelkie *pro* i *contra* tego przejawu, przedstawia Rops usiłowania ujścia przed niepokojem i stwierdza, że nie udało się to ani sceptykom, ani wyznawcom doktryny miłosierdzia (Duhamel i in.), nie udało się to wiedzy, ani filozofji. Wykluczając Boga, niepodobna ujść niepokojowi, tylko wiara żywa, walcząca i bezinteresowna potrafiłaby tego dokonać. Po tych uwagach ogólnych rozważa autor kwestję niepokoju z punktu widzenia patologicznego i perspektywy klasycyzmu.

Rozdział drugi poświęcony jest charakterystyce nowej generacji, która, znękana wojną, bez silnego charakteru i hartu duszy, szuka mistrza, któryby nią zawładnął całkowicie. Znaleźć go nie może — stąd niepokój. Dotknięta jest ona hamletyzmem, rozdwojona przez pogłębianie swego ja. Widać to w nowej fali egzotyzmu w literaturze francuskiej.

Do tego rozdwojenia przyczynił się również bergsonizm i freudyzm. Tęsknota za absolutem zapanowała wszechwładnie nad nową generacją. Uratować ją może tylko wiara, religijność — albo nicość.

W trzeciej i najciekawszej części swej książki analizuje Rops stanowisko czołowych pisarzy francuskich wobec zagadnienia niepokoju: jaką podają receptę na uzyskanie pokoju duchowego. Gide'a receptą, zdaniem Ropsa, jest kompletne wyzwolenie się wewnętrzne bez względu na cokolwiek. Być najintensywniej sobą. Benda i Valéry, to intelektualiści *par excellence*. Intelektualizm we wszystkich przejawach życia, to ich cel. „Filozofowie spektakularni (Benda, Valéry) ofiarowują naszemu niepokojowi skromną nadzieję wyzdrowienia —neoklasycy (Maurras), pokładają swe najpewniejsze nadzieje w doskonałej inteligencji, zalecając zdobycie spokoju i umiaru, sądzą, że niepokój dobrze skrępowany, nie wydobędzie się z pęt ducha". Lęk i boleść serca, uważa Estanié za konieczne. Bez nich człowiek nie znajdzie swej drogi. Religja cierpienia pozwala nam wierzyć w to, że wszystkie drogi prowadzą—jeśli nie do Rzymu,—to do Boga. Końcowe rozważania Ropsa są poświęcone stosunkowi katolicyzmu do niepokoju. Ostateczne rozwiązanie kwestji zależy od rozwiązania paraboli krzyża. Niepodobna oczywiście w krótkiej notatce dać dokładnego pojęcia o bogactwie myśli, zawartych w tym tomie o 300 str. Uzupełnieniem tej bardzo ciekawej i przenikliwie napisanej książki jest świeżo wyszła książka A. Berge'a: „*L'esprit de la litterature moderne*", którą omówimy przy innej sposobności.

*

„*Cahiers de la Quinzaine*", założone, jak wiadomo, przez Charles Péguy, wychodzą teraz ponownie pod dyrekcją jego syna Marcel Péguy. W jednym z ostatnich numerów znajdowało się ciekawe studjum o Marcel Proust. Równocześnie zaś młody przegląd, wychodzący pod nagłówkiem „1930", poswięca także specjalny numer Charles Péguy i nawołuje do pamięci o wielkim pisarzu, ponieważ uważa, że współczesnym pokoleniom brak polotu i wielkich porywów ducha.

*

Ostatnia powieść Henry Bordeaux nosi tytuł „*Tuilette*" (Plon). Nie jest to jednak imię, ale przezwisko dane małej Sabine, której urodzin bynajmniej nie pragnęła jej matka, płocha i egoistka Micheline d'Entrève. Ojciec, Hubert d'Entrève kocha coprawda bardzo swą córkę, ale z uczuciem tem musi się niemal ukrywać, by nie wywołać... zazdrości swej żony. Wybucha wojna: Hubert d'Entrève zostaje zabity. Micheline po miesiącach żałoby, zadowolona jest. że wreszcie może prowadzić swobodne życie .Oświadcza się jej przyjaciel jej męża, komendant Valeray: Micheline odrzuci go jednak bo nie uważa za dość dla siebie młodego i wesołego towarzysza i poślubi o kilkanaście lat od siebie młodszego... tancerza. Tymczasem Sabine, która odkrywa w komendancie Valeray duże zalety charakteru, przywiązuje się do niego, gdyż łączy ją z nim tyle wspomnień o jej ukochanym ojcu. Sabine oświadcza mu się i zostaje panią Valeray. Wówczas wybucha dramat. Matka jej po nieskończonych perypetjach małżeńskich, zmuszona jest wreszcie rozwieść się ze swym mężem-tancerzem i chroni się pod dach swej córki. Przejścia nie zmieniły jej płochej natury. Zaczyna flirtować ze swym zięciem. To też razu pewnego Sabine przyłapuje ich na dość czułej scenie. Buntuje się jej młoda i czysta dusza, matka opuści natychmiast progi jej domu, do którego wniosła zamęt, a Sabine myśli zrazu o samobójstwie, ale wreszcie odrzuca je, gdyż chce żyć dla dziecka, jakie niedługo ma przyjść na świat i dla którego chce być matką... prawdziwą matką.

Na tle tragedji wielkiej wojny rozgrywa się ten dramat rodzinny, w którym autor ze znaną sobie subtelnością odtworzył cały tragizm sytuacji: rywalizację dwóch generacyj, rywalizację matki z córką.

*

„*La Vraie Mata-Hari, courtisane et espionne*" (*Editions Prométhée*). Autorem tej książki jest jeden z dziennikarzy holenderskich, p. Charles S. Heymans. Rola Mata-Hari w czasie wojny jako szpiega na niemieckim żołdzie jest naogół znana. Jednak cały szereg szczegółów jej przedziwnej egzystencji pozostało owianych tajemniczością, gdyż Mata-Hari uplotła formalną legendę na temat swego indyjskiego pochodzenia. Autor powyższej książki, przebywał również przez dłuższy czas w Indjach; znał dobrze męża tancerki, a zatem posiada o niej najdokładniejsze informacje, które mu posłużyły do napisania jej biografji. P. Heymans omawia nietylko szpiegostwo i proces Mata-Hari, ale przedstawia przytem w sposób interesujący środowiska paryskie pseudoartystyczne, które przyjęły tę również pseudo-tancerkę i dopomogły do ustalenia jej sławy i do zapoznania jej z różnemi osobistościami, nawet ze świata politycznego. Książkę tę czyta się od początku do końca z niezmiernem zaciekawieniem jak prawdziwą powieść. Mata-Hari przebywa w Paryżu, gdy francuskie biuro wywiadowcze przyłapało iskrową depeszę, przesłaną z Ambasady niemieckiej w Madrycie do Paryża. Tancerka szpieg, została zaaresztowana w jednym z większych hoteli, zamknięta w więzieniu St.-Lazare, a po procesie, rozstrzelana na polygone de Vincennes, w lipcu 1917 r.

SZTUKI PLASTYCZNE

TOLERANCJA

TOLERANCJA! Nie wiem, czy to słowo dozwolone jest przez cenzurę... Obawiam się, że na sam jego dźwięk staną w rycerskich pozach dostojne duchy Jankuljów i Jaroszewiczów, aby odgrodzić uszy Polaków od słowa, które może obudzić tyle myśli nieprawomyślnych. Wprawdzie pojęcie, w tem słowie tkwiące, zastosowane tu będzie tylko do sztuk plastycznych, ale kto tych Lachów przeniknie!? Oni mają już między sobą ustalony jakiś język konspiracyjny, wobec którego człowiek bizantyjski czuje się, jak pies na cudzem podwórzu. A nuż i z tego kąta tolerancji wyskoczy jaka wolność obywatelska? Tu wszyscy, czortby ich wziął!, są „obywatele"... A zresztą, samo to słowo zasadniczo jest zaprzeczeniem cenzury. Puścić, czy nie puścić? Dozwolono, czy nie dozwolono? Kłopot nielada! Jakkolwiek wybrnie z niego cenzura, my, w imię Boże, zaczynamy.

Artyści-malarze jeszcze nie założyli swojej Ligi Narodów, którąby się w tym wypadku nazywała Ligą Kierunków, stąd też ciągle prowadzą wzajem ze sobą wojny zaciekłe, które na sztukę wpływają dobroczynnie. Ale strona zwycięska nie zawsze umie ozdobić zwycięstwo swoje tolerancją. Zdarza się, że gnębi przeciwnika jeszcze cenzurą, co już przekracza granice przyzwoitości. Jest-to, coprawda, tylko cenzura opinji, cenzura „moralna", zawszeć jednak niemoralna. Zaślepienie dochodzi czasem do tego, że wtrąca się w całkiem obcą, chociaż wspólnem mianem malarstwa objętą, dziedzinę. Dlatego warto na jednym bodaj przykładzie wykazać, że bywają kierunki, które tylko w tym lub owym dziale malarstwa stosować się dadzą, a dla innego działu są wręcz szkodliwe.

Impresjonizm, naprzykład, w okresie swojej chwały nie poprzestał na krajobrazie, wnętrzach, kwiatach i t. zw. „martwych naturach", gdzie był u siebie, ale siłą brutalną wdarł się do portretu i obrazów postaciowych. Skutkiem tego obezwładnił dwa te działy malarstwa, a następnie i sam na tem właśnie, obcem sobie polu, kark skręcił. Obecnie znów jesteśmy w okresie poczynań w kierunku odwrotnym: zdrowa reakcja w dziale portretu i obrazów postaciowych otrząsnęła się z impresjonizmu, ale niepomna nauki, na własnym grzbiecie zapisanej, narzuca się ze swemi prawami krajobrazowi i tym działom, w których nie ma nic do stanowienia. Oba ruchy, same w sobie konieczne i dla sztuki korzystne, dobrowolnie wynaturzające się przez swój imperjalizm duchowy. Pchają się, gdzie ich nie posiano, gdzie nie ich gleba i nie ich klimat.

Nawrót do późnego średniowiecza i Odrodzenia w dziale obrazów postaciowych i portretu jest sprawą znalezienia odpowiedniej dla tych działów odskoczni i szybkiego a stanowczego przeciwstawienia się impresjonizmowi, który tu wiele nabroił. Słusznie. Portret z wibracjami barwnemi, stopiony z krajobrazem, w ruchu pochwycony, bez psychologji i budowy ujęty — to przykry przypadek, a najczęściej nonsens. Obraz dramatyzowany, z wielu postaci ludzkich złożony — t. zw. historyczny, lub batalistyczny, lub rodzajowy — traktowany w duchu impresjonizmu, z reguły załamuje się bez ratunku, bo do dwóch wzajem sobie przeciwnych celów dąży. Całą twórczością swoją dowiódł tego Wojciech Kossak, chociaż w impresjonizmie swym był bardzo umiarkowany. Należy przeto precz wypędzić stąd impresjonizm, jako obcy i szkodliwy.

Lecz równie obce i szkodliwe dla krajobrazu i działów jemu pokrewnych są prawa, któremi muszą rządzić się działy portretu i obrazów dramatyzowanych. Gdyby krajobraz uległ tym prawom, zniszczyłby całą świeżość, bogactwo i poezję, które wniósł do niego impresjonizm. Oblicze przyrody, ukształtowane z tysięcy barw i kształtów, niezamknięte w ramach otoczenia, wymaga innych zgoła praw kompozycyjnych, a jego duszę, jego psychologję stanowi właśnie owa niesłychanie wielka skala barw i kształtów, które w portrecie są tylko zewnętrznym przypadkiem i zmąceniem celu artystycznego. Krajobrazista gromadzi i porządkuje to, co portrecista odrzuca, portrecista skupia dla swego dzieła to, co w kajdany zakuwa krajobrazistę. Ich dążenia są różne, nie mogą przeto rządzić się wspólnemi prawami.

Wielką zasługą impresjonizmu jest, że dojrzał, poznał i stara się odtworzyć duszę krajobrazu. Początek dał plener, ale rozwinął to dążenie impresjonizm. Dlatego, po ukróceniu jego nadużyć i wybujałości, po usunięciu jego dyktatury z obcych mu działów malarstwa, należy zdobycze jego pozostawić w spokoju i w poważaniu. Czy będą one nadal nazywały się impresjonizmem, czy nie będą, wejdą na stałe do zasobów palety malarskiej, ponieważ w oczach i w duszy człowieka trwałe sobie miejsce zdobyły. Prawda, że impresjonizm w swoim czasie dobrze dał się we znaki portretowi i działom do niego zbliżonym, ale w sprawach sztuki, w jej rozwoju historycznym niema chyba miejsca na zemsty rodowe i stanowe.

W małym domku grupy malarskiej pod nazwą „Bractwa św. Łukasza", jak i na szerszej arenie malarstwa, odżyły wzajemne urazy i uroszczenia obu kierunków i obu dziedzin. Portreciści narzucają swoje prawa krajobrazistom, jako zwyciężonym. Krajobraziści, chwilowo na stopie obronnej, bronią rozpaczliwie swojego impresjonizmu. Oba obozy szczerzą na siebie zęby — w płaszczyźnie ideowej. Lecz niepotrzebnie. Jedni drugim mają to i owo do zawdzięczenia. Pewną ilość wartości wiecznych wniósł impresjonizm do działów portretu i obrazów postaciowych. Trochę znów statku nabył lub nabyć może sam od reakcji portretowej. Taka wymiana zdobyczy powinna przyczynić się do zawarcia sojuszu i wytknięcia linji granicznej. Nie można ciągle wkółko się kręcić: dziś ty mnie, jutro ja tobie. Jak portret i obraz dramatyzowany nie skończyły się na Odrodzeniu lub na Matejce, tak też i krajobraz nie skończył się na impresjonizmie.

Biorę tu głównie w obronę krajobrazistów dlatego, że oni są dziś napastowani. Niedawna klęska impresjonizmu znacznie ich stanowisko osłabia moralnie i w opinji publicznej. Ale to była klęska nie we własnej dziedzinie krajobrazu, lecz w obcej — w portrecie i obrazach postaciowych. Trzeba to ściśle odróżnić. W krajobrazie impresjonizm pozostał, jak był, w stanie zwycięstwa. Pomimo szaleństw, które w jego imieniu dokonywano, ma on wszelkie warunki do dalszego rozwoju krajobrazu, do pogłębiania go i wzbogacania. Krajobraz Odrodzenia i wieku osiemnastego już nie powróci. Ani krajobraz romantyczny. Plener i impresjonizm rozpoczęły nową, wielką epokę krajobrazu, która dziś przebywa pewną pauzę twórczą, ale się nie skończyła jeszcze. Owszem — jest na progu swojego wieku dojrzałego. A jeżeli dzie ma krajobraz pole twórczości niewyczerpane — i w przyrodzie i w duszy artystów, to właśnie przedewszystkiem w Polsce.

Już w dorobku dotychczasowym posiada malarstwo polskie całą plejadę pierwszorzędnych krajobrazistów, którzy powstali w szkole pleneru i impresjonizmu, albo z niej wyszli. Od Gierymskiego do Wyspiańskiego (w jego „Kronice kilku dni"). Tak licznego zespołu tak natchnionych poetów przyrody nie wydało żadne inne malarstwo. Po tym wybuchu poezji barw i nastrojów przyrody krajobrazowej nastąpiło jedno i drugie dziesięciolecie spoczynku. Ale ostatnie lata znowu dają oznaki wzmagającej się podziemnej czynności sił wulkanicznych. Trudno ocenić nadchodzące moce twórcze w artystach, ale gdy rozejrzymy się w przyrodzie, łatwo zauważymy, jakich kopalni jeszcze nie tknięto — od Tatr aż do Bałtyku. Wielkie złoża przedmiotowego materjału dla krajobrazu, razem z barwnym jego mieszkańcem — ludem polskim, czekają na oczy widzące i dusze zachwycone.

Materjału tego nie wykorzysta krajobraz w rodzaju p. Rafała Malczewskiego, lub innych matematyków kompozycyjnych, rządzących się prawami budowy portretowej i postaciowej. Tu można wyjść tylko z założeń impresjonizmu, lecz, oczywiście, kierowanych poezją, a nie bezdusznym naturalizmem. Krajobraz, w podstawie swojej, jest liryką. Jak każda liryka może być w napięciach swych i symbolach dramatyzowany, ale w granicach formy lirycznej. Portret zaś i obraz postaciowy z natury swej są twórczością dramaturgiczną i w tej tylko formie rozwijać się mogą. Otóż prawa zamknięcia, budowy, zwartości barwnej i tym podobne, któremi kieruje się twórczość portretowa, nie dają możności opanowania liryki krajobrazowej. Środki tego opanowania posiada tylko impresjonizm, lub ruch, który z jego podstaw się wyłoni. Tak samo i naodwrót: impresjonizm, jako liryka, nie rozporządza środkami, któreby mogły opanować dramat portretu, lub obrazu postaciowego.

Z tego wynika wprost, że oba działy malarstwa nie mają prawa wzajem sobie rozkazywać, ani się sobie narzucać. Wzajemne krytyczne zrozumienie swoich dążeń i konieczności przyrodzonych, oraz wzajemna w tych granicach tolerancja — oto co ma je ku ogólnemu dobru sztuki obowiązywać. Na takich zasadach humanitarnych oparte, dwa te działy nawet w najmniejszym domku bractwa koleżeńskiego mogą wygodnie się pomieścić. W takiem dopiero współżyciu będą mogły przenikać wpływy wzajemne w ilości i sile odpowiedniej, bo dobrowolnie i niemal bezwiednie. Barwność do portretu, zwartość budowy do krajobrazu, tu trochę dramatu, tam trochę liryki — w dawkach, których żaden lekarz ani aptekarz wyliczyć nie zdoła, bo tylko zdrowy instynkt wolnego, nie napastowanego artysty na ślepo odmierzyć je umie.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

TEATR

„DZIEJE JÓZEFA"

W TEATRZE Narodowym wznowiono „przedwojenną" komedję Włodzimierza Perzyńskiego „Dzieje Józefa". Należy ona do kategorji sztuk obyczajowych, do których materjał czerpać można pełną ręką ze zdarzeń w życiu otoczenia. Jeżeli środowisko, w którem komedja się rodzi, jest wielkomiejskie, to pewne sfery towarzyskie w drodze obmowy przygotowują pisarzowi temat. A wtedy podwójnie interesującą staje się powieść czy komedja, środowisko bowiem odnajduje w dziele swoją współpracę i doskonale się bawi.

Tutaj pierwiastek obmowy towarzyskiej już zwietrzał; nie ma na kogo palcem wskazać, bo ludzie wymarli. Echami tylko błąkają się po sali tradycje. Pomimo to komedja Perzyńskiego jest dzisiaj jak nowa. Talent bowiem zapewnia sztuce wieczny rumieniec.

Perzyński sięgnął ręką do domu mechesów cywilizacji, parodjujących tryb życia ludzi bogatych. Możności „używania" nie odpowiada stopa kultury duchowej. Błąkają się tedy po bezdrożach, jak zwierzęta powodowane zmysłami. Życie tam nie ma żadnej logiki rozumu czy serca, niema więc tam gwłaściwie miejsca na dramat wesoły czy smutny; są tylk. zdarzenia, a z tych można zrobić tylko obraz obyczajowy. Pani baronowa lubi uwodzić swoich lokajów i ma jedną tylko troskę w duszy (?), aby mąż miał dogodne kochanki, niezbyt kosztowne a efektowne, bo to dobrze robi w interesie

Według logiki praw duchowych nic tam nie da się obliczyć — i to właśnie autor uwydatnił: popędy zmysłowe i znużenie są zasadniczemi czynnikami tego marnego życiao Pod tym względem życie bogatych mieszczan-mechesów cy-

wilizacji staje się podobne w swojem barbarzyństwie do życia duchowego plebsu wielkomiejskiego. Romans damy z lokajem na tem tle nie razi, ani też dziwna jest zbrodnia.

Obie te sfery, nie mając w porządku instynktów i zasad moralnych, szukają zaspokojenia potrzeb duchowych w modnych teorjach odrodzenia ducha, wskazówek życia — u wróżbitów i znachorów. Miasto w złej kulturze doprowadza jednem słowem ludzi do stanu dzikości.

Perzyński żadnych wniosków nie wyciąga, morałów nie prawi, tylko bezlitośnie pokazuje fakty i rysy. Nieocenione usługi oddał sztuce naturalizm, że nauczył patrzeć. Perzyński był i jest niedoścignionym zoografem środowiska wielkomiejskiego.

W rolach głównych wysunięci na czoło artyści wywiązali się z zadania doskonale. P. Justian rolę barona Putyfary opracował bardzo starannie. Utalentowany ten artysta, mam wrażenie, wrażliwy na wzory, dawane przez wielkich artystów, za mało studjuje w naturze. Tłumaczy się to jego ambicją artystyczną w rekordzie, ale nie jest drogą najkrótszą do celu. P. Staszkowski pochlubić się może rolą profesora, pomyślaną oryginalnie i doskonale wykonaną. Trzecią postać charakterystyczną, godną poklasku, stworzyła p. Broniszówna. Ona dała charakter środowisku, w którem się odbywa akt trzeci (u wróżbiarza). Doskonałą parę ról charakterystycznych mieliśmy w planie dalszym osobach pp. Chaveau i Biernackiego. Nieoceniona p. Rotterowa-Jarnińska na tem tle odegrała swój romans z p. Hnydzińskim. Scenę oświetlały dwie gwiazdy rzadkiej piękności, pp. Balcerkiewiczówna i Pawińska.

Tak spędziliśmy wieczór z Perzyńskim, z którym obcowanie zawsze jest miłe.

Z. W.

NA MARGINESIE

Zgromadzenia tysięcznych rzesz w Krakowie i Poznaniu manifestowały przeciwko zaborczym planom Niemiec, ujawnionym w ostatniej mowie Treviranusa, i jednomyślnie uchwalały rezolucje, wzywające rząd, aby „poniechał polityki ustępliwości i niereagowania na ataki i dał właściwą odpowiedź“.

Żargonowy dziennik „Moment“ pisał natomiast z okazji przemówienia Treviranusa: „Byłoby całkowicie przedwczesnem, gdyby Polska wykazała zbytnią nerwowość z powodu przemówienia niemieckiego ministra... Właśnie dzięki spokojowi i opanowaniu uda się pozyskać opinję publiczną całego świata. Nerwowość zaś i „zarządzenia natury wojskowej“ mogą dać jedynie odwrotne wyniki!“

P. minister spraw zagranicznych Zaleski i rządy „pomajowe“ trzymają się ściśle programu, zalecanego przez „Moment“.

*

Na pewnem posiedzeniu tuzów obozu małej Polski, gdy nalegano na konieczność akcji wschodniej, ktoś zwrócił uwagę:

— A co będzie z Pomorzem?

— Wielkie rzeczy — trochę mniej będzie w kraju endeków...

*

Kiedy już nawet Niemcy nie tają, że akcja o Pomorze i akcja ukraińska w Małopolsce są jedną całością działań niemieckich, zmierzających do okrojenia Polski, wtedy „sanacja“, schwytana na gorącym uczynku, oświadcza:

— Miano Obozu Wielkiej Polski nam się należy!

— Czemże więc była i jest dotąd wasza polityka pomorska i ukraińska, idąca na rękę Niemcom?

— Myśmy tylko brali was na próbę, czy istotnie jesteście narodem idjotów.

— ?!

— Na tem polegają metody sanacyjne. Nasze zabiegi są próbą wytrzymałości Polski. Kapitalny był kawał z Kijowem w r. 1920. Nieprawda? Niestety, Niemcy nie mogły się ruszyć. To byłaby heca!

— Jakże się ta metoda sanacyjna nazywa?

— Aktywistyczna.

*

Na Pomorzu zabroniono podobno śpiewać Krakowiaka: „Z drugiej strony Wisły kąpała się wrona..

Krakowiak ten bowiem wystawia na pośmiewisko wysoko postawioną osobę. Sanatorzy kąpią się tylko w Dnieprze.

*

Opinja publiczna jest poruszona tem, że rząd zbojkotował obchód narodowy „Cudu Wisły“. Ludzie nie rozumieją że takie obchody irytują „sanację“. Po pierwsze niema narodu, jest tylko państwo; wszystkie więc obchody narodowe są antypaństwowemi. Powtóre: jeden jest tylko cudotwórca. A wreszcie Wisła to hasło szowinistyczne, drażniące Niemców.

*

Pisząc o wielkiem zgromadzeniu protestacyjnem przeciw zaborczym planom Niemiec, jakie dn. 19 b. m. odbyło się na Rynku Głównym w Krakowie i zgromadziło „parę tysięcy demonstrujących z orkiestrami i tablicami z odpowiedniemi napisami“, urzędowa Polska Agencja Telegraficzna starannie przemilcza nazwiska mówców, nie wymienia również, przez kogo zgromadzenie zostało zwołane. Ot, poprostu, „samo się zwołało“, „samo się przemawiało“...

Jakie dziecinnie śmieszne są te karzełki „sanacyjne“ ze swemi próbami „nie zauważania“ myśli narodowej i obozu narodowego w Polsce!

*

Socjalistyczna „Pobudka“ (nr. 41) tłustym drukiem ogłasza następujące wezwanie: „Nie wolno milczeć! Niech się rozlega głośno hasło: Precz z wojną! Te cyfry dobrze zapamiętajcie: 13 miljonów zamordowano, 16 miljonów rannych, 5 i pół miljona inwalidów, 186 miljardów dolarów wydano, 85 miljardów dolarów zniszczono...“

Szkoda, że w wyliczeniu tem skutków wojny światowej „Pobudka“ zapomniała dodać jeszcze jeden: powstało niepodległe i zjednoczone Państwo Polskie. A przecież nawet z „ogólnoludzkiego“ stanowiska ten ostatni fakt jest chyba donioślejszy, niż... zniszczenie 85 miljardów dolarów.

*

W artykule wstępnym „Gazety Polskiej“ p. t. „Święto żołnierza polskiego“ (nr. 223), znajdujemy taki ustęp:

„Jeśli życie państwowe dawnej Rzplitej zostawiło po sobie wspomnienie conajmniej sporne, raczej niesławne niż sławne — to niewątpliwie jedyną kartą, która jest bezspornie kartą chwały i sławy, jest historja polskiego czynu wojennego, wartość polskiego żołnierza“.

Nie wiemy dokładnie, co autor nazywa spornem, a co niespornem wspomnieniem. Ale pogląd „Gazety Polskiej“ na historję Polski wydaje się tu dość oryginalny. Zapewne w jej rozumieniu taka np. epoka jagiellońska, epoka kulturalnej ekspansji Polski jest sporną co do wartości, a jedynie bezsporną kartą chwały i sławy jest historja naszych czynów wojennych, wśród których wszakże obok np. Beresteczka były i — Piławce!

Jesteśmy zdecydowanymi zwolennikami wojskowego wychowania społeczeństwa, ale sądzimy, że nie mamy się co wstydzić całości naszego niepodległego bytu państwowego, w którym praca kulturalna i działalność państwowo-twórcza naszych przodków miała również duże znaczenie. Przykrawanie historji do znanej już ideologji „czynu orężnego“ jest nietylko nudne, ale bywa i ryzykowne.

Ciekawi też jesteśmy, jak na te pomysły historyczne „Gazety Polskiej“ zapatrywałyby się nasze oficjalne czynniki oświatowe, które właśnie zajęte są układaniem programu historji polskiej dla szkół w duchu pacyfistycznego współdziałania narodów, w duchu doktrynerskiego i szkodliwego przytłumienia wielkich i nieśmiertelnych wspomnień walk orężnych?

Poprostu mamy przed sobą mały przykład zwykłej w obozie sanacyjnym bezceremonjalności w traktowaniu historji. Nawet i ona musi „stać na baczność“, zależnie od potrzeb dyktatora.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.